BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W BYDGOSZCZY
Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
C IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 19 grudnia 1948 r. | Nr 51 (160)

W NUMERZE: Tadeusz Kordyasz — „Nie jestem wrogiem św. Tomasza"

Nik Rostworowski

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA CYWILIZACJĘ

Jeżeli zespół o społeczno-reformatorskich ambicjach jest zespołem katolików, nie może mu wystarczyć przeświadczenie o skuteczności akceptowanych przezeń środków. W równej mierze winien się on zatroszczyć o ich zgodność z etyką chrześcijańską.

Oba wymienione warunki przełożone na język praktyki społecznej, stwarzają antynomię pozornie nie do przewyciężenia. Dla wierzącego nie ma jednak problemu „opóźnień" w wynajdowaniu coraz to modniejszych norm moralnych. Natomiast niewątpliwie mogą istnieć zaniedbania na odcinku postępowości społecznej, które katolicy powinni umieć wyrównać. To jest właściwe pole współzawodnictwa i nader poważna szansa cywilizacyjna w realizacji Królestwa Chrystusowego na ziemi.

Sumując, postępowość a nawet rewolucyjność musi być cechą nieodłączną każdego społecznego programu katolików. Czerpiąc pełnymi garściami z Ewangelii oraz społecznej nauki Kościoła (nie mieszać z historycznie zmienną doktryną społeczną Kościoła czyli systemem tez programowych polityki społecznej) winniśmy na własną odpowiedzialność i własne ryzyko odczytywać w księdze rzeczywistości właściwy kierunek historycznych przemian.

* * *

Nakreślenie tych kilku uwag uznałem za niezbędne przed postawieniem tezy, którą nieco dalej postaram się rozwinąć. Tezę ową można by sformułować w sposób następujący: **W aktualnym momencie historycznym odpowiedzialność za cywilizację chrześcijańską winna przejąć klasa robotnicza.**

Wydaje mi się, że celem wykazania słuszności takiego stanowiska, trzeba wpierw dowieść prawdziwości dwu podstawowych założeń, z których ono konsekwentnie wynika.

1) **Odpowiedzialność za budowę cywilizacji chrześcijańskiej na poszczególnych etapach jej historycznego rozwoju spoczywała na warstwach społecznie określonych.**

2) **W wieku dwudziestym, klasa robotnicza ma najwięcej danych potencjalnych, ażeby realizować wskazania nauki Chrystusa w życiu społecznym.**

W ramach artykułu publicystycznego nie da się niestety omówić szczegółowo tematu, którego naukowe opracowanie musiałoby zająć kilka lat wytężonej pracy całemu zespołowi historyków, ekonomistów i socjologów. Nb. zamierzam jeszcze nieraz doń wracać. Tu muszę się ograniczyć do, z konieczności, niedokładnego zarysowania zagadnień, moim zdaniem specjalnie istotnych.

Niełatwo przyjdzie mi się uporać z zarzutami, że uprawiam „mętną historiozofię". Z punktu widzenia czystej nauki zresztą, cokolwiek by się na temat przyszłości na podstawie doświadczenia historycznego nie mówiło, będzie zawsze w jakimś stopniu historiozoficzną ekwilibrystyką.

Słyszę już także głosy oburzenia, że przecież Ewangelia ma być opowiadana wszystkim, a nie tylko uprzywilejowanym, że prawda Kościoła Powszechnego nie może stać się monopolem określonej warstwy ludzi.

Wszystkie sądy tego typu są najzupełniej słuszne, tylko, że dotyczą religii. Ja natomiast postawiłem tezę z zakresu polityki społecznej, a w dalszym ciągu chcę mówić o zjawisku historycznie określonym i historycznie sprawdzalnym, mianowicie o chrześcijańskiej cywilizacji.

* * *

„Cywilizacja i kultura — pisze Maritain — należą w swej istocie do zakresu dóbr doczesnych, innymi słowy są to wartości ziemskie przemijające, których materia należy do porządku naturalnego. Wartości te, będąc pośrednim celem dążeń ludzkich, powinny być podporządkowane celowi ostatecznemu, czyli życiu wiecznemu. I dzięki temu podporządkowaniu celowi najwyższemu, cywilizacja i kultura zostają istotnie podniesione w hierachii. Dlatego też cywilizacja chrześcijańska zakrojona jest na miarę wyższą i posiada cel bardziej doskonały, niż cywilizacja pogańska". Natomiast „religia katolicka" — pisze trochę dalej ten sam autor — dzięki temu, że jest nadprzyrodzona, jest absolutnie trnscendentna, ponadkulturalna, ponadnarodowa i ponadrasowa".

Stoimy zatem wobec dwu odrębnych porządków: porządku natury i porządku łaski. Bez Kościoła, cywilizacja chrześcijańska byłaby absolutnie nie do pomyślenia, natomiast Kościół istnieje niezależnie od niej i może się nawet rozwijać w świecie, będącym jej jaskrawym zaprzeczeniem. Z drugiej strony należy pamiętać, że chrześcijańska aktywność cywilizacyjna jest jakgdyby przygotowaniem gruntu pod ziarno Nauki Chrystusowej.

— Nie zamierzam tu nadawać jakiegoś odrębnego znaczenia pojęciom cywilizacji i kultury. Ze względów metodologicznych przyjmuję ich umowną tożsamość. Termin wymaga jednak precyzji. Dla tych rozważań najodpowiedniejsza wydaje mi się definicja prof. Czarnowskiego, który kulturę określił jako: „całokształt zobiektywizowanych elementów dorobku społecznego, wspólnych szeregowi grup i z racji swej obiektywności ustalonych i zdolnych rozszerzać się przestrzennie".

Maritain podchodzi do tej kwestii inaczej. Według niego pojęcie cywilizacji i kultury polega „w sposób najogólniejszy i najbardziej powszechny na wydoskonaleniu społecznego życia ludzkiego". To określenie jest dla mnie dosyć niejasne, a ponieważ wydaje mi się, że kultura w definicji prof. Czarnowskiego żadną miarą nie narusza rozgraniczenia, jakie między religią a kulturą ustalił cytowany przeze mnie na początku Maritain, pozostaje mi już tylko wyjaśnić, o czym myślę, posługując się terminem „kultura chrześcijańska". Otóż sądzę, że wzgląd na udostępnienie przedmiotu poznaniu empirycznemu, przemawia tu za posługiwaniem się definicją prof. Czarnowskiego z zaznaczeniem, że o chrześcijańskości kultury na danym etapie czasowo-przestrzennym będzie decydowała ilościowa przewaga elementów kulturowych, u których genezy można stwierdzić inspirację katolicyzmu pojmowanego jako religia zbawcza, głosząca cele pozadoczesne.

Czyż potrzebuję dodawać, że w pełni podzielam pogląd Maritaina, iż „cywilizacja nie jest ograniczona do jednej grupy ludzkiej, jednego narodu, jednego państwa, lecz promieniuje na około"?

„Rozszerzanie się przestrzenne", o którym czytamy w definicji prof. Czarnowskiego, wskazuje na podobne zjawisko. Jedno z mych dwu założeń zawiera jedynie sąd o określonej społecznie odpowiedzialności na budowę cywilizacji chrześcijańskiej, czyli o wymiernej w czasie i w przestrzeni roli kierowniczej określonych warstw społecznych, których społeczna sytuacja musiała wywrzeć specyficzne piętno na charakterze odziedziczonego przekazu kulturowego.

* * *

O. Pierre Fernessole w interesującym dziele pt. „De la civilisation chrétienne" (Paryż 1945) wskazuje na trzy okresy, które jego zdaniem, zasługują na miano trzech największych epok cywilizacji chrześcijańskiej. Za kryterium wielkości przyjmuje tu O. Fernessole stopień „najbardziej pełnego wpływu chrystianizmu na życie osobiste, społeczne, obyczaje i instytucje polityczne ludów". Przyjrzyjmy się pokrótce tym epokom.

Pierwsza z nich obejmuje okres czterech wieków: od narodzin chrystianizmu do rządów Konstantyna. Są to czasy zdobywania świata pogańskiego przez chrześcijan. Podbój dokonywuje się bez użycia oręża. Jedyną bronią jest Ewangelia i budujący przykład życia tych, którzy ją opowiadają. „Niewątpliwie — pisze O. Fernessole — na początku chrystianizm jest głoszony jako religia pokornych i maluczkich. Ale już na przestrzeni dwu i półwieku od ogarnięcia świata rzymskiego, a nawet w czasach św. Pawła, chrystianizm nie zaprzestaje przyciągać w poczet wiernych, reprezentantów elity społecznej, intelektualnej i moralnej, członków najmożniejszych rodzin senatorskich a nawet cesarskich".

„Członkami gmin są ludzie wszystkich stanów, od jednostek należących do miejscowej arystokracji, aż do niewolników. Są między nimi bogacze i są ubodzy" — czytamy w „Kulturze" Czarnowskiego. Jedna relacja pochodzi od duchownego, druga od laickiego socjologa. Nie ma powodu podawać ich sądy w wątpliwość.

Stoimy zatem u kolebki chrześcijańskiej sztuki, literatury, nauki i chrześcijańskich instytucji. Ślady tej kultury zachowały się po dziś dzień: liturgia, początki symbolizmu i realizmu w malarstwie (rysunki w katakumbach ikonografia), rzeźba (sarkofagi na cmentarzach i w katakumbach), nauka i literatura. (Listy św. Pawła. Pisma św. Ignacego z Antiochii, św. Justyna, Tertuliana, św. Grzegorza z Nazjansu, św. Ambrożego, św. Augustyna i in.).

O instytucjach napomyka Czarnowski: „W ciągu paruset lat w poszczególnych gminach oraz w ich stosunkach wzajemnych wyrobiły się te sposoby organizowania i rządzenia ludźmi i rzeczami, tak, że gdy edykt Konstantyna w r. 313 równouprawnił chrześcijaństwo, a edykty następne ogłosiły je za religię państwa, Kościół był już w znacznej mierze przygotowany do objęcia funkcji prawno-publicznych wynikających z zespolenia się go z organizacją imperium". To było decydujące i musiało zaważyć na rysach cywilizacji chrześcijańskiej następnych okresów.

* * *

Imperium Karola Wielkiego, którego panowanie uważa O. Fernessole za drugą wielką epokę cywilizacji chrześcijańskiej, jest znakomitym przykładem ścisłego powiązania funkcji prawno-publicznych Kościoła z organizacją państwową. Ciekawą ilustracją tego powiązania może być list Karola Wielkiego do papieża Leona III: „Jest mym obowiązkiem — pisze świątobliwy władca — bronić w każdym miejscu Kościół Chrystusowy przeciwko atakom pogan i dzikości niewiernych, nieść mu jako obronę wewnątrz i na zewnątrz poznanie wiary katolickiej, by wreszcie przez Twoje modlitwy pod przewodnictwem i łaską Bożą lud chrześcijański odniósł wszędzie zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi tego świętego Imienia i żeby imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa, było chwalone w całym świecie".

Karol Wielki nie tylko nawracał mieczem pogańskich Sasów. Uważał się powołany nawet do bezpośredniego wglądu w życie kleru. Uśmiechamy się dziś, czytając w kapitaularzach karolińskich przepisy dotyczące śpiewu kościelnego i zabraniające księżom polować oraz uczęszczać do domów tańca. Jak wyglądał ideał bohatera tamtych czasów, dowiadujemy się choćby z „Pieśni o Rolandzie": rycerz, który tym samym pchnięciem miecza służy Chrystusowi i suzerenowi.

Okres 1220 do 1300, czasy monarchii św. Ludwika — to zdaniem O. Fernessole — trzecia wielka epoka cywilizacji chrześcijańskiej: krucjaty, które już wówczas były sprzeczne z interesem ekonomicznym i politycznym świata zachodniego, krzepnięcie stanowej formy ustroju (cechy, korporacje, konfraternie). Czasy św. Tomasza z Akwinu, Dantego, czasy, w których Etienne Boileau, kupiec paryski na życzenie monarchy pisze „Livre des Métiers", statut 101 korporacji kupieckich miasta Paryża.

Tę złotą erę chrześcijaństwa poprzedziła Reforma Kluniacka i wygrany przez Grzegorza VII spór o Inwestyturę. Znajdujemy się w okresie pełnego rozkwitu najpiękniejszego tworu chrześcijańskiej cywilizacji — rycerstwa. A Treuga Dei, a solidaryzm stanowy realizowany praktycznie? Biedaczyna z Assyżu błądził tymi szlakami. Jeszcze dziś nie możemy zapomnieć radośnie żarliwego: „Bracie wilku"..

* * *

Zupełnie celowo wybrałem te trzy szczyty cywilizacyjne, nie szczędząc im kolorów jasnych. Pora na skalpel.

Religia katolicka jest religią powszechną. Piętno uniwersalizmu wyciśnięte przez nią na cywilizacji chrześcijańskiej, nie da się zatrzeć. A mimo to... Tak, mimo to we wszystkich omówionych okresach **odpowiedzialność za kulturę spoczywała na barkach ludzi, których sytuację społeczną da się całkiem precyzyjnie określić.**

Więc najpierw, w okresie najwcześniejszym ci „maluczcy", o których wspomina O. Fernessole.

D 11/591 OŻ

Rybacy galilejscy jako awangarda, zaś w stolicy ówczesnego świata — proletariat rzymski. Jeżeli się pisze o „reprezentantach elity społecznej", to nie miejmy złudzeń: na początku to byli rzeczywiście tylko reprezentanci. Chrześcijaństwo wówczas jest pod każdym względem rewolucją. Duchową, ale także społeczną. Na naukę pogardzanego żyda z Jeruzalem mógł stawiać tylko ten, kto na tym świecie nie miał nić do stracenia a wszystko do zyskania na tamtym. „Królestwo moje nie jest z tego świata" — mówił Boski Mistrz. — Z relacji współczesnych wiemy, że niewolnicy nawracali się masowo, a przecież wiele wieków upłynie nim chrześcijaństwo zniesie niewolnictwo. Czy raczej nie wypadałoby wskazywać na awans niebieski aniżeli mówić o społecznym? W tym miejscu przypowieść o wielbłądzie i uchu igielnym narzuca się już nie jako mądrość moralna lecz trafna diagnoza socjologiczna: Nauki heroicznej o świętości nikt lepiej nie rozumiał od najbardziej przez życie upośledzonych. We wrogim świecie pogańskim oni byli jej najśmielszymi heroldami.

Przypomnijmy sobie historię gmin chrześcijańskich. Kiedy nawet zaczęli do nich dołączać przedstawiciele warstw zamożniejszych — ton obowiązujący nadawali biedacy. Co najmniej przez dwa wieki ubóstwo było stylem życia, nie tylko radą ewangeliczną. W tym właśnie sensie można mówić o odpowiedzialności społecznej wydziedziczonych za cywilizację pierwszych wieków chrześcijaństwa. Oczywiście wulgarnym uproszczeniem byłoby stosować kryterium pochodzenia do członków gmin chrześcijańskich. Gminy były ubogie i kto decydował się, żeby zostać ich członkiem, choćby był arystokratą, uczestniczył w społecznej solidarności nędzarzy.

Wyodrębnione przykładowo czasy Karola Wielkiego i czasy św. Ludwika świadczą o diametralnym zwrocie w pozycji społecznej Kościoła. O ścisłym powiązaniu jego ziemskich instytucji z ustrojem feudalnym: Warstwy odpowiedzialne za ustrój przejmują odpowiedzialność za cywilizację chrześcijańską.

Współzależność stosunków społecznych i gospodarczych można tu stosunkowo łatwo wychwycić.

W imperium karolińskim przede wszystkim w utrzymaniu ustroju zainteresowane jest rycerstwo feudalne. We Francji św. Ludwika prócz rycerstwa także stany niższe, które nie tylko harmonii społecznej zawdzięczały niebywałą prosperitt, ale w pewnej mierze właśnie dzięki prosperity mogły sobie na taką harmonię pozwolić...

Trzeba by punkt za punktem rozpatrywać historię rozszerzania się wpływów Kościoła na świecie, żeby dla tezy ledwo naszkicowanej znaleźć solidną podbudowę w bogatym materiale faktów. Na pewno nie zawsze odpowiedzialność za cywilizację chrześcijańską będzie w danym miejscu i czasie pokrywała się z odpowiedzialnością za ustrój. Dla socjologa jedno jest niewątpliwe, a to: społeczne uwarunkowanie każdej cywilizacji, co za tym idzie cywilizacji chrześcijańskiej także.

***

Odwołując się do ustalonego kryterium chrześcijańskości cywilizacji można śmiało twierdzić, że w kulturze pierwszych chrześcijan jest więcej niż w następnych okresach cywilizacyjnych, elementów przyporządkowujących ją ostatecznym celom religii. Cywilizacja, za którą odpowiedzialni byli biedacy, jawi się nam jako najmieszkalniejsza chrześcijańska.

Wszechstronna analiza socjologiczna tego okresu umożliwiłaby ustalenie właściwej hierarchii przyczyn, warunkujących to zjawisko. Już jednak przy najbardziej pobieżnej próbie wniknięcia w tło społeczne cywilizacji pierwszych chrześcijan, pielęgnowana powszechnie cnota ubóstwa wyłania się zeń jako motyw zasadniczy. Wyraża się ona w gotowości podporządkowania posiadania indywidualnego — nadrzędnym potrzebom wspólnoty.

W tak pojętym ubóstwie dostrzegamy ciągle jeszcze, raczej zaletę natury moralno-osobistej, ludzie zaś, których świadomość kształtowała rozpadająca się w naszych oczach cywilizacja mieszczańska, gotowi są je uważać za społeczną klęskę. Mają oni niewątpliwie rację, myśląc o nędzarzach, jakich rzesze wyrzuca nieustannie system kapitalistyczny w charakterze produktu ubocznego. Proletariat tak rozumiany jest zbrodnią wzywającą o pomstę do nieba i warto tu szczególnie mocno zaznaczyć, że doktryna społeczna Kościoła katolickiego nie znajduje dosyć silnych wyrazów na jej potępienie. W tej chwili jednak jesteśmy świadkami innego zjawiska: Oto klasa robotnicza zdaje się stać w przede dniu przejęcia odpowiedzialności za ustrój społeczny świata. Burżuazja, której koniec nieuchronny wieści kryzys strukturalny kapitalizmu, ustępuje miejsca nowej, najbardziej dynamicznej warstwie społecznej — robotnikom.

Zastrzegając sobie moralne prawo do właściwej oceny etycznej poszczególnych metod walki o wyzwolenie społeczne, nie możemy przeoczyć poważnej szansy cywilizacyjnej, wynikającej stąd dla katolicyzmu. Pierwszy raz w historii odpowiedzialność za ustrój może przypaść w udziale klasie, która jest społecznie zainteresowana żeby pracę wynieść na najwyższy szczebel w hierarchii wartości ekonomicznych. Pracę, nie złoto.

W historycznych tradycjach cywilizacji chrześcijańskiej znajdujemy jej powiązania z warstwą ubogich, nie obce są tej cywilizacji również koneksje z ustrojami.

Ubóstwo odegrało w dziejach kultury katolickiej rolę potężnej sprężyny cywilizacyjnej. Z ustrojami różnie bywało. Żądza złota i żądza władzy odbijały się zawsze fatalnie na tym współżyciu.

W chwili obecnej stoimy wobec spodziewanej realizacji ustroju ubogiego. Ubogiego w sensie pogardy dla złota jako wartości samej w sobie, lecz przede wszystkim w znaczeniu ustalonym przez praktykę życia społecznego pierwszych chrześcijan: podporządkowania posiadania potrzebom wspólnoty.

Kultura świata może stać się na powrót chrześcijańska, jeżeli klasie robotniczej aspirującej do przejęcia odpowiedzialności za cywilizację ukażemy katolicyzm w jego niezafałszowanej postaci religii miłości. Nie wydaje się celowe wiązać dziś Kościół z mieszczańską cywilizacją pieniądza — naturaliter pogańską i w gruncie rzeczy nigdy nie ochrzczoną.

***

Zadajemy sobie w tej chwili wszyscy jedno pytanie: Czy posiew ewangeliczny napotka glebę żyzną? — Przemówią tu bardziej ode mnie kompetentni:

— W wakacyjnym numerze „Znaku" p. M. S. streszczając artykuł Alain Barrer'a, zamieszczony w „Etudes" pisze m. in.: „Warstwie robotniczej grożą pewne niebezpieczeństwa. Tendencją szczególnie niebezpieczną jest „masowość", tj. przesadna i mylna wiara w kolektywizm i w masę. Mylą się jednak ci, którzy z tych względów ustosunkowują się negatywnie do ruchów robotniczych".

I nieco dalej: „Niestety słabą stroną reprezentantów katolicyzmu społecznego jest niedocenianie warstwy robotniczej".

Cytowany przeze mnie parokrotnie prof. Czarnowski tak charakteryzuje psychikę współczesnego robotnika (lata przedwojenne): „Gruntem, na którym rozwija się myślenie proletariatu jest zawsze psychiczny komunitaryzm klasowy, przeciwieństwo racjonalizmu indywidualnego. Jeden to więcej powód do nieufności do religii zbawczych, tym większej im bardziej dana religia kładzie nacisk na bezpośredni stosunek intelektualny jednostki ludzkiej do Boga, im bardziej na drugi plan ustępuje w niej moment organizacji społecznej — kościoła". W świetle tych wywodów popartych bogatym doświadczeniem znakomitego socjologa wypowiedź następna zyskuje w naszych oczach walor zupełnie wyjątkowej trafności: W odpowiedzi na ankietę rozpisaną przez „Esprit" w r. 1946 zabrał głos proboszcz jednej z robotniczych parafii wielkiego Paryża, ks. Michonneau. Niech on przemówi tym razem już do końca:

„...Tak więc podstawowe rysy Ewangelii odpowiadają w swej istocie temperamentowi moralnemu robotnika: miłosierdzie, wierność, oderwanie od bogactw. Nawet i ta olbrzymia perspektywa Królestwa Niebieskiego, które trzeba założyć i rozszerzyć na ziemi ma charakter do głębi ludowy". „Jak mogło dojść do tego, że katolicyzm ukazano oczom robotnika jako ustalony stan rzeczy. Z chwilą, gdy przeciwnie, robotnik ujrzy w naszym chrześcijaństwie ognisko najprawdziwszej ze wszystkich rewolucji i zaczyn najbardziej braterskiej społeczności, wtenczas mu zaufa".

„...Wszystko zależeć będzie od sposobu, w jakim chrześcijaństwo objawi się masom robotniczym. Nie pójdą one ku religii indywidualistycznej, religii indywidualnej korzyści. Oczywiście niepodobieństwem jest głosić chrześcijaństwo bez tego wzlotu duszy do Boga, bez osobistego wysiłku poznawczego i moralnego. Ale na to, by chrześcijaństwo objęło masy, musi sięgnąć po nie jako po masy: musi im być ukazane od strony wspólnoty i zbiorowego postępu w perspektywie swej zbiorowej realizacji".

„...Nie chodzi tu o wszczynanie walki, apologetyki czy opozycji. Chodzi o to, by ukazać możliwość pójścia dalej, uzupełnienia królestwa materialistycznego przez inne; przewyższenie ideału przez inny ideał. Jeśli to przewyższenie zaznaczy się faktami i autentycznymi przykładami, — jak to zaczyna wszędzie po trochu występować, będziemy świadkami nie sporadycznego renesansu młodego chrześcijaństwa, ale rzeczywistego jego rozkwitu wśród ludu".

Nik Rostworowski

OFIARA

na odbudowę świątyń to jeden z obowiązków katolika współczesnego

Jerzy Radkowski

Drogi duchowe poezji angielskiej

Najistotniejszą cechą całej poezji angielskiej jest abstrakcyjna wizja istnienia ludzkiego. Życie w tym ujęciu, to przede wszystkim metafizyczny stan człowieka: dla poetów chrześcijańskich życie w Słowie Wcielonym, dla ateisty zaś Shelleya życie rozumiane jako plotyńska forma emanacji myśli. Cokolwiek istnieje, istnieje dzięki życiu. Błędem jest poszukiwanie wartości poza nim. Albowiem nie wartości stwarzają życie, lecz ono stwarza wartości — moralne, estetyczne, socjalne.

W takim klimacie myślowym rozwinęła się poezja angielska, przepojona poczuciem głębokiej odpowiedzialności wobec życia. Jej postawa jest przede wszystkim religijna. Pod tym względem poezja Anglii jest zjawiskiem wyjątkowym w Europie, nękanej od czasu Renesansu rozdziałem, powstałym między poezją a modlitwą, między lirycznym wzruszeniem a uczuciem religijnym. Jedynie w Anglii znajdujemy nieprzerwany prawie łańcuch poetów uduchowionych, od Chaucer'a do T. S. Eliot'a.

Jerzy Cattaui w doskonałym essayu omawia ogniwa tego „nieprzerwanego łańcucha" w nowoczesnej poezji angielskiej. Wybiera spośród poetów trzech wybitnych, a zasadniczo różnych w swojej twórczości: Hopkinsa, Yeats'a i T. S. Eliot'a. Siła i bogactwo ich indywidualności artystycznych pozwala uznać ich za przedstawicieli trzech różnych kierunków współczesnej poezji angielskiej.

Yeats reprezentuje uduchowienie panteistyczne, ekstensywne, badające świat zewnętrzny, naturę, w nadziei, iż w niej odnajdzie boskość. Przeciwnie, spirytualizm Hopkins'a i Eliot'a jest skierowany dośrodkowo; aby odnaleźć Boga zagłębia się on w siebie. U Yeats'a mamy do czynienia z duchowością rozwojową, u Hopkins'a i Eliot'a z duchowością pogłębienia. Ale, podczas gdy Hopkins jest kosmiczny, Eliot nade wszystko personalistyczny. Poezja Eliot'a to bezustanna obecność człowieka. Wyjaśnia ona związek człowieka z wszechświatem; pokazuje jego zmaganie z wielkimi problemami życia, z drobnymi trudnościami, z samą poprostu codziennością; wyodrębnia wreszcie prawdziwe wymiary metafizyczne człowieka, z którymi staje on przed obliczem Boga. Lecz zawsze człowiek pozostaje ośrodkiem krystalizacyjnym tej poezji.

Inaczej u Hopkins'a. Ten pragnie narzucić nam przekonanie, że wszechświat „ubiera Boga pełnią świetności i majestatu". Nie człowiek, lecz wszechświat jest tematem jego poezji. Rola człowieka w tym wszechświecie ogranicza się do roli chóru w starożytnej tragedii, do roli świadka, komentującego swoje dzieje, szukającego ich wewnętrznej treści, głoszącego chwałę sztuki, granej przed jego oczyma. Poezja Hopkins'a, to mistyczna pieśń ku chwale, ku wielkości Boga i piękne Jego dzieła. Podobnie jak w chórze starożytnym, opiewa ona ofiarę, którą człowiek składa swemu Stwórcy, aby zaskarbić sobie Jego miłość i łaskę.

„Celem tej poezji" — pisze Cattaui — „jest nie tyle prowadzenie nas do pełni poznania, ile wzbudzenie w nas potrzeby Nieskończoności, poczucia Jej braku". Jest ona wielkim „wołaniem ku Obecności, której osiągnąć niepodobna".

„Jestem szczęśliwy, taki szczęśliwy" — oto ostatnie słowa umierającego Hopkins'a.

Dla W. B. Yeats,a głównym źródłem natchnienia była poezja ludowa i narodowa Irlandii; baśniowa, czarodziejska kraina starych legend celtyckich stała się jego światem. Lecz i inne tajemnice pobudzają jego wyobraźnię: Indie, ich escetyczni mędrcy, wtajemniczenia, jogowie. Ale nade wszystko porywa poetę tajemna i czarodziejska strona głębokiej mistyki Indii. Przejęty wiedzą wtajemniczenia, w przenośniach i alegoriach dostrzega poetycką realizację łączności z niewidzialnym. Wszechświat jest dla niego zgromadzeniem dusz i duchów, tworzącym i wyzwalającym czarodziejskie siły. W tym wszechświecie, pozbawionym określonych wymiarów, w którym wszelki kształt nieustannie zmienia się w inny, każda cząstka staje się symbolem całości. Bo zmienne są granice między istotami i rzeczami i wszelkie istoty, wszystkie rzeczy spowite są naturą, duchowym źródłem wszech świata. Dla poetyckiego panteizmu Yeats'a religijny kult przyrody stał się horyzontem myślowym. Natura w jego poezji posiada cechy nadprzyrodzone: jego panteizm jest czarodziejski, jego uduchowienie dochodzi do spirytyzmu; można — mówi Cattaui — zastosować tu słowa Maritain'a: „tragedią rozkoszy duchowej jest to, że może ona oddzielić myśliciela od Boga".

Zasadniczy ton poezji T. S. Eliot'a jest liryczny i osobisty; świat jego twórczości poetyckiej — to przede wszystkim wewnętrzny świat duszy. Świat zewnętrzny — to jedynie ekran, na którym odbijają się wzruszenia z wewnątrz pochodzące. Zagadnienia, które poezja Eliot'a porusza, nie są nigdy sprawami „obojętnymi": posiadają zawsze oddźwięk uczuciowy. Musimy przeto patrzeć na nie pod zupełnie niespodziewanym kątem. Przeżycia i doznania wiążą się rozmaicie, w sposób szczególny i nieprzewidziany; wszystko staje się przenośnią. Zwykły świat wyjawia nowe, a głębokie znaczenia. Jego zmysłowa treść pozwala przeczuć pokrewieństwo z duchowością. Racjonalizm prowadzi do irracjonalizmu. Rozwierają się przed nami mistyczne i religijne głębie wszechświata i istnienia ludzkiego.

W poszukiwaniu związku duchowego ze światem niewidzialnym poprzez widzialny Eliot „...nawiązuje do wieku XIX i XVIII, do tradycji poetów metafizycznych a nawet... do starych mistyków angielskich", których echo odnajdujemy w jego utworach o najgłębszej treści.

Pasjonujący essay Cattaui wzbogacony jest świetnym przekładem „trzech poetów" pióra samego autora, za wyjątkiem fragmentów z „East - Coker, tłumaczonych przez J. de Menasce. Te ostatnie są szczególnie cenne, jako pierwsze przekłady tego poety na francuski.

Z prawdziwą też przyjemnością powitać należy ciekawy przekład Eliot'a przez Piotra Leyris, który otrzymał nagrodę Denyse Clairouin. Inteligentne i wnikliwe tłumaczenie przezwyciężyło wszystkie utajone trudności, kryjące się w tej poezji pełnej precyzji, subtelności wyrażeń i stylu. Tym więcej należy żałować, że Leyris nie przekłada poematów Eliot'a po roku 30, przez co nie znamy ostatnich dzieł wielkiego poety. Miejmy nadzieję, że wkrótce wypełni on tę lukę.

Tadeusz Kordyasz

List do pana Stanisława K. z Lublina

NIE JESTEM WROGIEM Św. TOMASZA

Drogi Panie Stanisławie! Szkoda wielka, że Pan nie podał mi adresu i z tej racji muszę, nadużywając dobroci redaktora, zająć swoją pisaniną spory szmat katolickiego tygodnika.

Od chwili ukazania się „Zakonu Miłości" otrzymałem wiele listów, wśród których Pański jest wyjątkiem. Trudno, trzeba to wyznać. Ludzie wysoko postawieni w Kościele, gorliwi kapłani, zakonnicy i zakonnice, sławni pisarze chrześcijańscy, po kolei zawstydzają mnie swoim uznaniem. Zaiste jest to zbyt wiele dla marnego człowieka, gdy dzielny kapłan, który życie swoje spopielił w służbie dusz, pragnie ponieść trudy dalekiej podróży, aby osobiście podziękować za napisanie książki, wyrwanej mu, jak mówi, spod serca. Zbyt oszałamia, niebezpiecznie kusi radość, budzona słowami steranej wiekiem kobiety: „nigdy nie lubiłam się modlić. A teraz książka pana przełamała lody między mną a Bogiem. Trzymam ją pod poduszką. Lżej mi będzie umierać w jej towarzystwie".

Tym bardziej czuję się w obowiązku odpowiedzieć na list Pański, krytycznie nastawiony do mojej (już nie mojej) książeczki. Wierzę naturalnie, że Pan jest katolikiem. Rozumiem Pana trudności. Nie lekceważę zarzutów. Ale określając stosunek mój do Św. Tomasza, popełnił Pan omyłkę. Nie jestem wrogiem Świętego. Jestem jego wielbicielem. Wystarczy uważnie czytać „Zakon Miłości", aby znaleźć w nim najwyższą pochwałę tomizmu. Oto Chrystus mój przemawia: „Napróżno oczekuję kogoś, komu bym mógł powiedzieć: napisałeś o Mnie lepiej, niż Tomasz". Czy to nie dosyć?

Pisze Pan: „znajomy mój, wykształcony ksiądz, doktór teologii, twierdzi, że pan przekręca naukę Św. Tomasza".

Drogi Przyjacielu — nie czynię tego. Wypadkiem znam dobrze naukę Doktora Anielskiego. Najlepsze lata życia poświęciłem zgłębianiu jego myśli. To, co piszę, jest tylko streszczeniem niektórych tez, zawartych w Summie. Jeśli wytknąłem ich słabą stronę, to nie dlatego, żeby się pastwić nad mistrzem, który mię umacniał w miłości bożej. Słusznie Pan pisze, że papieże nieraz podkreślali ogromną wartość tomizmu i polecają nam nadal jego studium. Racja. Ale, jak mi wiadomo, dotychczas żaden Sobór nie włączył „Summy Teologicznej" do kanonu ksiąg objawionych. I ci, którzy recytują jej rozdziały z namaszczeniem, niby święte sury Koranu, niedźwiedzią wyświadczają przysługę Filozofii Wiecznej.

Wieczystość tomizmu nie może być interpretowana jako ostateczny wyraz prawidłowego poznania — wypadałoby nam w takim razie oddać swoje rozumy do przechowalni, która nie zwraca bagażu — lecz jako doskonały wyraz maksymalizmu metody i obiektu, który cechuje chrześcijańską mądrość. Użyć wszelkich dostępnych metod, aby dosięgnąć wszelkiej prawdy, bez ograniczeń — oto ponadczasowe hasło, które czyni tomizm wiecznie młodym i stawia przed nim nieograniczone możliwości rozwoju. Tak właśnie postępował Św. Tomasz, gdy w XIII wieku wprowadzał przebojem do filozofii katolickiej system pogańskiego Arystotelesa, co było na owe czasy rażącym nowatorstwem, nieomal herezją i spotykało się z silnymi oporami niektórych dostojników kościelnych.

Cześć dla Doktora Powszechnego, Genialnego Robota z Akwinu, nie powinna zatem iść w parze z potępianiem nowych kierunków naukowych, które atakują rzeczywistość nowymi, subtelniej wyostrzonymi pazurami. Ośmielając się wytykać błędy Tomaszowi, robiłem to w najszczerszej intencji bronienia filozofii katolickiej przed śmiertelnym niebezpieczeństwem skostnienia, zahamowania w biegu naprzód. Tomizm — to wspaniały etap ale nie kres. Czasy dzisiejsze błagają już o nowego Tomasza i nową Summę. Nie wystarcza nam już Arystoteles, tak jak wiekowi trzynastemu nie wystarczał Plato. Módlmy się, aby rychlej przyszedł ten mąż, który z nieuchronną mocą i powagą będzie miał prawo napisać na wstępie nowego wykładu katolickiej filozofii: amicus Thomas sed magis amica veritas. Jasne jest dziś dla wszystkich, że niejedna ważna partia filozofii tomistycznej, niejedno kapitalne zagadnienie psychologiczne, czy socjologiczne krzyczy już o nowe przepracowanie na miarę potrzeb obecnej epoki. Pomijam całą kosmologię, która w ujęciu arystotelesowsko-tomistycznym dziś, w dobie mikrofizyki i bomby atomowej mocno trąci myszką. Poczciwa „forma", „substancja" i „accidens" — to bez wątpienia celne chwyty, które oddały wiele usług w wysiłku przenikania do istoty bytu, ale niefrasobliwe obrabianie tymi miarkami tajemnicy Eucharystii smętnie wygląda na tle badań jądrowych i stałej Plancka.

Aby życie mogło rozwijać się harmonijnie do prawdy teologicznej — musi ta prawda być zawzięcie dyskutowana na ulicy i w tramwajach, a nie tylko w zatęchłych murach czcigodnych uczelni, do których ostre wichry teraźniejszego wieku nie mają dostępu.

Jednak Pański doradca w sutannie oznajmia, „że popełniłem nieścisłości natury teologicznej". Popełniłem je na pewno. Ale „Zakon Miłości" nie jest podręcznikiem teologii. Nie należy więc zgryźliwie układać jego sformułowań na łatwo obrażających się szalach ścisłej nauki. To książka przeżyta, przecierpiana: w uniesieniu radości, pod naciskiem bólu chwyta się nieraz określeń przesadnych. O, jak trudno jest uwięzić prawdę w naszych biednych słowach! Prawdę, która jest ostrą granicą między przepaściami — nie sposób od czasu do czasu nie postawić stopy na jakimś wrogim upłazie. Książka moja jest poczęta w cieniu Ewangelii: pozwólcie korzystać mi z jej przywileju. Czy Dobra Nowina nie jest utkana z owych przesadnych wezwań, ryzykownych porównań, karkołomnych paradoksów, którymi posługiwał się nasz Pan?

Oto ledwie słodko oznajmił: przyszedłem pokój puszczać na świat, już grzmi: nie przyniosłem pokoju, ale miecz! Tu mówi: miłujcie nieprzyjaciół waszych, a indziej: kto nie ma w nienawiści matki swej, nie jest mnie godzien. A czy to nie łatwo zgorszyć się taką przypowieścią o włodarzu niesprawiedliwym? Dlatego chyba Jezus dodaje: błogosławiony, kto się ze mnie nie zgorszy. I żadna książka nie przyniosła tylu zgorszeń, nie zapłodniła tylu herezji, co Ewangelia.

Zarzuca mi Pan dalej: „wkłada pan w usta Chrystusa słowa, których on nie powiedział, używa pan ostrych wyrażeń, niegodnych jego boskiego języka".

Według św. Jana, gdyby chciano spisać to, co zdziałał Jezus, cały świat nie pomieściłby owych ksiąg. Skąd więc Pan wie, co powiedział Jezus? On żyje ciągle. On mówi ciągle. Głos Jego użyźnia nasze dusze. I ja go nasłuchuję, powtarzam w miarę sił — jeśli niedokładnie i nędznie, proszę mi wybaczyć, poprawić bez gniewu. Może raczej chciał Pan powiedzieć: „takich słów, takich wyrażeń nie mógłby nigdy użyć Chrystus".

Ale jakie to wyrażenia są godne Boskiego Języka? Jeśli Bóg poniża się tak, że przemawia w ludzkim języku — żadne ludzkie słowo nie zdoła uwłaczać Jego godności. Wydaje mi się ponadto, że my nie za bardzo wiemy, jakich to wyrażeń lubił używać Jezus. Uświęcone tradycją archaizmy Wulgaty i Wujka— zielona patyna na wiekowym mieczu, przysłaniają nam jego ostre kontury, odsuwają w bezpieczne oddalenie, skąd nie rani i nie oślepia. Istnieją przewielebne słowa, które dobrze maskują naszą obojętność i niechęć, jak gablotki, przeznaczone do spokojnego butwienia rodzinnych szpargałów, wypłowiałych, niepojętych.

Natomiast pewien jestem, że Jezus obcując stale z tłumem, z ludźmi ulicy, przemawiał do nich ich językiem, bo ich kochał, chciał być zrozumiany. I dzisiaj bezsprzecznie robiłby to samo. A więc zamiast „rodzaju jaszczurczy" usłyszeliby może dzisiejsi faryzeusze: „bando hipokrytów" — zamiast nowiny, że „celnicy i wszetecznice uprzedzą was do królestwa" dowiedzieliby się w osłupieniu nasi świętoszkowie, że szubrawcy i prostytutki wejdą tam przed nimi.

Na koniec jeszcze jedno. Jestem dla Pana „trochę czerwony" i „sympatyzuję z komunizmem". Drogi Panie — jestem trochę katolikiem i sympatyzuję z Chrystusem. Chrystus nauczył nas miłować wszystkich. Katolicyzm zaś znaczy: uniwersalizm. Wszelka prawda jest naszą prawdą. W każdym kierunku tkwi jakieś ziarno twórcze — katolik ma obowiązek dostrzec je i uszanować. Chyba Pan nie zaprzeczy, że komunizm głosi wiele haseł prawdziwych i godnych uznania. Jeśli przybiera on czasem formy bezbożne, to nie jego wyznawców wina, lecz nasza. To my, głosząc się stronnikami Boga, kompromitujemy Go. Jesteśmy wszak żywymi obrazami Ojca i przez nas właśnie brat nasz poznaje Boga.

Niestety zbyt często my, pyszni obnosiciele afiszów Królestwa Bożego nie wypełniamy rozkazu: „najpierw szukajcie sprawiedliwości", a za to pilnie tuczymy się krzywdą bliźniego. Nie dziwmy się więc, że ci, którzy po swojemu walczą o sprawiedliwość, w ferworze bojowym przewracają nas razem z naszymi chorągwiami i wszystkim, co na nich jest wypisane. Nie należy upraszczać sprawy, kusić Boga, zwalać wszystko na szatana, czekać cudu. Nie kreujmy się tak ochotnie na męczenników — jakże często serca nasze są tabernakulami Złego, którego wypatrujemy u naszego przeciwnika.

Świat stary się wali, rodzi się nowy świat. Mijają (na szczęście) wygodne czasy, gdy grzeczna służba przynosi nam ciepłą kawę do łóżka, a dzwonek w porę wzywa do świątyni, w której pobożnie wysłuchamy niedzielnego koncertu, tuszującego łagodnie dramat Najświętszej Ofiary. Nie tylko On — ale i my musimy składać co dzień ofiarę z własnego życia. Musimy wziąć na siebie „pełną zbroję bożą". Ta zbroja — to miłość i świętość. Aby to się rychlej stało, napisałem swoją książkę. Tylko dlatego.

Radzę Panu, nieznany Bracie, przeczytać ją jeszcze raz, ale bez swoich sceptycznych cyrklów, wag i miar. Niech Pan ją przetrawi w spokoju, przyjmie serdecznie, z dobrą wolą, tak, jak została stworzona. Może wówczas znajdzie Pan w niej pokarm dla siebie i nie będzie Pan wyrażał z ironią swego zadowolenia, że katolicka Księgarnia Św. Wojciecha w Lublinie odmawia sprzedaży „Zakonu Miłości".

Oddany Panu

Tadeusz Kordyasz

Od Redakcji:

Książka Tadeusza Kordyasza p. t. „Zakon Miłości" przechodziła dziwne koleje losu. Prasa katolicka wydanie jej przemilczała. Wydawnictwa katolickie odmówiły sprzedaży. Dopiero recenzja zamieszczona w „Słowie Powszechnym", które opublikowało list ś. p. Prymasa Kardynała Hlonda pisany do autora, spowodowała, że z trzech egzemplarzy sprzedanych przez autora — obecnie nakład jej jest całkowicie wyczerpany. Już w niedługim czasie ukaże się nowe wydanie. Książka ma być tłomaczona na słowacki. A oto treść listu Prymasa Hlonda:

Wielce Szanowny Panie!

Sprawił mi Szanowny Pan niemałą radość swą książką p. t. „Zakon Miłości". Przeczytałem ją jednym tchem. Serdecznie dziękuję za ten wkład w literaturę religijną i szczerze życzę, by dzieło to osiągnęło swój wielki cel. Niechaj dusza polska pije z tej krynicy prawd bożych i pod ich wpływem niechaj się zbliża coraz częściej do źródeł Chrystusowej łaski.

Łączę dla dalszych prac literackich Szanownego Pana swe arcypasterskie błogosławieństwo.

AUGUST KARDYNAŁ HLOND

Warszawa, dn. 6 października 1948

W kraju i w świecie

POŁĄCZENIE PARTII ROBOTNICZYCH

W chwili, gdy słowa te dojdą do naszego czytelnika — wiedzieć on już będzie z prasy codziennej, że dwie robotnicze partie polityczne uchwaliły na swych kongresach połączenie, że pierwszy wspólny Kongres rozpoczął się w Warszawie w dniu 15 grudnia 1948 roku. Połączenie się dwóch partii politycznych nigdy nie jest tylko wewnętrzną sprawą tych stronnictw, ale zawsze istotnym wydarzeniem żywo obchodzącym społeczeństwo, w ramach którego działają obie jednoczące się organizacje.

Dotychczas główny ośrodek życia politycznego rozbijał się w Polsce między dwie partie, wprawdzie głoszące te same zasady światopoglądowe i taktyczne, ale różne od siebie składem grup kierowniczych. To powodowało szereg najrozmaitszych perturbacji natury politycznej, gdyż wiadomo dobrze, iż nie jest to samo, gdy dwóch mówi tak samo. Praktyczne różnice polityczne były tym większe, iż obie grupy kierownicze miały za sobą działanie rozmaitych tradycji politycznych, tradycji które, bywały lata, że płynęły zupełnie odmiennymi korytami.

Tak długo mogło w Polsce istnieć polityczne rozdwojenie w ruchu robotniczym, jak długo istniały odmienne teoretyczne założenia, odnośnie realizowania socjalizmu; z tą chwilą, gdy różnice w tym względzie przestały w Polsce istnieć, (tak jak istnieją jeszcze w wielu innych krajach Europy) z tą chwilą partie muszą się ze sobą połączyć.

Dwoistość ośrodków socjalistycznych wpływała niewątpliwie hamująco na socjalizację życia w Polsce. Jednolitość takiego ośrodka — przyśpieszy tę socjalizację. Wzmoże aktywność polityczną socjalizmu. Z tego doskonale zdają sobie sprawę kierownicy PPS i PPR i jest to zapewne najważniejszy argument, jaki u przywódców powojennej PPS zadecydował o przekształceniu 55 lat istniejącej partii i jej nazwy w inną figurę polityczną. Z tego też winna sobie doskonale zdawać sprawę rzesza bezpartyjnych, o tym winni pamiętać nauczyciele i artyści, tego muszą oczekiwać przedstawiciele tak zwanej inicjatywy prywatnej.

Nie naszą jest sprawą rozważać przyczyny i efekty ideologiczne Kongresu Zjednoczeniowego i w ogóle całego procesu unifikacyjnego — jest to wewnętrzna sprawa obu stronnictw — nam tylko wypada zwrócić uwagę na państwowe skutki tego aktu oraz wyrazić nadzieję, że przyczyni się do dalszego usprawnienia administracji państwa, do jeszcze większego wzmożenia wysiłku jego odbudowy, tak jak to stało się przy okazji „Czynu Kongresowego", który zupełnie konkretnie przyśpieszył odbudowę całego szeregu obiektów tak mieszkalnych, jak komunikacyjnych, czy przemysłowych, by wymienić tylko zysk płynący z prędszego wykonania planów rocznych, oraz — w innej dziedzinie — z szybszego, niż było przewidziane, ukończenia montażu obu budujących się w Warszawie mostów: średnicowego i śląsko - dąbrowskiego.

Dokończenie na str. 4-ej.

W KRAJU I W ŚWIECIE

DALAJ LAMA Z TYBETU

WSKUTEK rozesłania po całym świecie prospektów i ofert naszego przemysłu metalurgicznego — Tow. Importowo-Eksportowe „Polimex", otrzymało w ostatnich dniach list od tybetańskiego Dalaj Lamy. List o wymiarach 60 × 40 cm, zaopatrzony w pieczęcie państwowe, nadszedł do Warszawy w olbrzymiej kopercie, w formie rolki. Narysowany tuszem w języku tybetańskim, zawierał tłumaczenie angielskie. Dalaj Lama pragnie zamówić most żelazny, którym „chce uszczęśliwić swój lud". Po otrzymaniu bliższych danych technicznych „Polimex" zajmie się wykonaniem mostu, oraz transportem segmentów do Tybetu.

WAWELSKIE ARRASY

OSTATNIO artykułem Wojciecha Byliny w „Przekroju", a następnie szeregiem dalszych wypowiedzi prasowych i półoficjalnych — rozpoczęta została kampania, zmierzająca do odzyskania przez Polskę skarbów wawelskich — szczególnie arrasów, których dwadzieścia dwie skrzynie, jeszcze po dziś dzień, przebywają w skarbcach Kanady i nie zostały wydane rządowi polskiemu. Skarby te znalazły się w Kanadzie wskutek ewakuacji dokonanej przez zarząd Wawelu we wrześniu 1939 roku. Wojnę przetrwały w banku kanadyjskim, skąd zostały przed dwoma laty zabrane przez funkcjonariuszy „rządu emigracyjnego" i umieszczone w innym miejscu. Mimo dwuletnich rokowań, rząd Kanady — nie odmawiając rzecz oczywista prawa własności rządowi polskiemu — przewleka wydanie skarbów, narażając je na dalsze niszczenie w skrzyniach, bez jakiejkolwiek konserwacji. Opóźnienia i utrudnienia w przekazaniu skarbu usprawiedliwiają obawy, iż skarby wawelskie mogą zostać w ogóle dla Polski stracone. Życzyć by sobie tedy należało, aby kampanią rozpoczęta w Polsce rychło odniosła pożądany skutek w Kanadzie.

FRANCJA I USA

DECYZJA anglosaska przekazania zarządu nad wytwórniami Zagłębia Ruhry samym Niemcom wywołała ostry sprzeciw Francji. Ambasador Francji Henri Bonnet złożył w Waszyngtonie demarche, które sam określił jako „bardzo poważne". Domaga się ono likwidacji karteli, denazyfikacji zarządów kopalń, hut i fabryk, utrzymanie kontroli nad produkcją węgla i stali nawet po zakończeniu okupacji. W tej samej nocie Bonnet stwierdził — jak donosi PAP, iż Francja nie pójdzie na żadne ustępstwa w sprawie Zagłębia Ruhry. Po rozmowie z podsekretarzem stanu USA Lovettem, Bonnet oświadczył dziennikarzom: „Uważam, że propozycje nasze są nad wyraz umiarkowane. Nie sądzę, by opinia publiczna Francji pozwoliła rządowi na wycofanie się z tej pozycji. Powinniśmy ją popierać". A tymczasem rząd USA ustanowił w ramach planu administracji Marshalla specjalną komisję Humphreya, której zadaniem ma być zbadanie jakie fabryki niemieckie mają zostać skreślone z listy odszkodowań i mają przystąpić do normalnej produkcji.

W Londynie właśnie miało miejsce posiedzenie tego komitetu, na którym przedstawiciele Anglii i Francji biorą udział tylko w charakterze obserwatorów, jest to więc wewnętrzno amerykańskie ciało polityczne. Komitet ten postuluje jakoby wstrzymanie demontażu 400 fabryk niemieckich w Zagłębiu Ruhry. Jest to nowe uderzenie w Wielką Brytanię i Francję, szczególnie w tę ostatnią, której stanowisko wobec tych nowych propozycji komitetu Humphreya budzi obawy polityków amerykańskich.

Celem przezwyciężenia oporu Francji USA „zaatakowało ją gospodarczo" z innej strony. Szef misji planu Marshalla we Francji oświadczył, iż francuski „wkład do planu Marshalla nie jest dostateczny" i że „Francja musi dokonać większych wysiłków w kierunku uzyskania stabilizacji wewnętrznej i finansowej jeżeli chce otrzymać dalszą pomoc od Stanów Zjednoczonych". Po raz pierwszy delegat amerykański tak wyraźnie sprecyzował groźbę pod adresem Francji. Groźba ta tyczy niewątpliwie dwóch spraw: jednej — niemożności opanowania przez rząd francuski akcji strajkowej, oraz drugiej — oporu Francji w sprawie niemieckiej i Zagłębia Ruhry.

Liczyć należy się z tym, iż rząd francuski ugnie się na koniec pod naciskiem amerykańskim, aby nie dopuścić do zmniejszenia dostaw w ramach planu Marshalla. Wobec tego należy się spodziewać dalszego zaostrzenia kursu wobec partii komunistycznej.

Być może, iż właśnie w związku z naciskiem amerykańskim nastąpił we Francji fakt pierwszej reprywatyzacji. W „Dzienniku Urzędowym" ukazał się dekret o zwrocie majątku, akcji i prawa eksploatacji kopalni węgla firmie Schneider i Sp. do której kopalnie te należały przed nacjonalizacją.

ONZ

ZGROMADZENIE Generalne ONZ obradujące w Paryżu — zakończyło swój żywot, właściwie żadnej ze spraw postawionych na porządku dziennym nie uwieńczywszy sukcesem, gdyż trudno nazwać sukcesem jednomyślne uchwalenie wniosku meksykańskiego wzywającego raz jeszcze do pokoju i pokojowego rozstrzygania zagadnień spornych, jeśli w praktyce żadne z tych zagadnień rozstrzygnięte nie zostało i bodajże rozstrzygnięte być nie mogło tak długo, jak — poza ONZ — trzy wielkie mocarstwa nie dojdą do kompromisu i politycznego porozumienia.

Śladów takiego porozumienia nawet nie widać, nawet nie czuć — Anglosasi próby porozumienia, jak choćby radziecka w sprawie Berlina, torpedują z zaciekłością godną lepszej sprawy. I kto wie, czy fakt, iż wbrew swemu poprzedniemu stanowisku delegaci USA zmienili zdanie w sprawie przyjęcia Izraela do ONZ jeszcze na tej sesji i zalecili przesłanie sprawy do Rady Bezpieczeństwa, a więc jej odroczenie, czy fakt ten jest mechanicznym rezultatem poparcia prośby Izraela o przyjęcie do ONZ przez rząd ZSRR i kraje ludowych demokracji.

11 grudnia zakończyły się obrady — i ich zakończenie stało się też okazją do demonstracji międzynarodowych różnic: na wniosek anglosaski większość krajów uchwaliła przedłużenie obrad III sesji zgromadzenia generalnego, z tym że obrady wznowione zostaną w roku przyszłym z powrotem w New Yorku. ZSRR głosowało za wnioskiem polskim, aby sprawy nie załatwione obecnie umieszczone zostały na porządku dziennym IV sesji Zgromadzenia Generalnego a III sesja aby zakończona została zgodnie z planem. Na wniosek państw południowo - amerykańskich uchwalono jako język obrad ONZ — dodatkowo język hiszpański, co wobec pominięcia w uchwale języka rosyjskiego i chińskiego stało się jeszcze jedną próbą dyskryminacji Rosji na terenie ONZ. Również większość ONZ dyrygowana przez Anglosasów wyznaczyła komisję ONZ dla Korei, komisję bez udziału ZSRR — kadłubową — której zadaniem jest zbadać stosunki polityczne w Korei, gdzie istnieją obecnie dwa rządy — jeden w północnej, drugi w południowej. Tak samo kontynuacja prac tzw. „Małego Zgromadzenia" zwołanego wbrew ZSRR i bez jego udziału. Tak samo uchwalenie przez Specjalną Komisję Polityczną rezolucji zalecającej Radzie Bezpieczeństwa zaliczenie szeregu spraw tyczących międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa — do spraw proceduralnych, przy uchwalaniu których nie obowiązuje zasada jednomyślności stałych członków Rady.

Wszystkie te posunięcia na terenie ONZ wyraźnie wskazują na anty - radziecką agresywność polityki Anglosaskiej.

W BERLINIE

ROZDZIAŁ Berlina jest już faktem dokonanym. W niedzielę 5 grudnia w sektorze brytyjskim, amerykańskim i francuskim odbyły się wybory do samorządu miejskiego, które przyniosły 60% zwycięstwo socjaldemokratom Schumachera. Wybory odbyły się w atmosferze terroru, połączonego z aresztowaniem wśród agitujących za absencją wyborczą, wtykaniem kartek wyborczych do rąk głosujących z numerem partii Schumachera, oraz nadużyciami w rodzaju kilkakrotnego głosowania tych samych osób. Ukonstytuował się w wyniku tych wyborów nowy parlament oraz zarząd miejski, którego burmistrzem wybrany został prof. Reuter, już raz na początku br. wybrany burmistrzem, wtedy jednak władze radzieckie sprzeciwiły się powołaniu go na to stanowisko.

Radziecki komendant Berlina płk. Jelizarow oświadczył, iż władze radzieckie uznają wybory w części Berlina za nielegalne. W ten sposób władze radzieckie za legalny uznają zarząd miejski z Evertem, a władze państw zachodnich z Reuterem na czele. Konflikt berliński daleki jest od likwidacji. Z dniem każdym wydaje się raczej pogłębiać. Koszta tej sytuacji płacą — w praktyce dnia codziennego — przede wszystkim Berlińczycy.

FINLANDIA

W Finlandii od wielu miesięcy toczy się proces narastania oficjalnie przyjaznej a faktycznie wrogiej polityki wobec ZSRR. Proces ten zaznacza się szeregiem drobnych posunięć, które uchodzą na ogół uwadze czytelników gazet codziennych. W lecie br. Finlandia była terenem licznych protestów załóg robotniczych przeciwko sprawowaniu przez Fagerholma funkcji premiera, oskarżając go o antyradzieckie i antypostępowe intencje polityczne. Ruch protestacyjny pozostał bez rezultatu. Zaczęły się natomiast mnożyć dowody aktywności politycznej strony przeciwnej dysponującej w parlamencie większością. I tak zwolniony został przedterminowo, skazany na długoletnie więzienie premier fiński sprawujący tę funkcję za czasów fińsko-niemieckiej wojny przeciw ZSRR. Ostatnio w Helsinkach policja fińska zatrzymała i pobiła dwóch obywateli radzieckich. Misja ZSRR zarządała ukarania winnych. W kilka dni potem — ale zapewne nie z tego powodu — rozwiązana została państwowa policja fińska, w skład której wchodziło wielu członków i zwolenników partii bloku demokratycznego i zastąpiona nową formacją, w przyjmowaniu, do której zastosowana będzie niewątpliwie nowa weryfikacja polityczna idąca po linii eliminacji ludzi o przekonaniach lewicowych.

Kazimierz Koźniewski

RACJE WYCHOWAWCZE

Cóż za zabawne przypadki chadzają po świecie! Akurat w tym samym czasie, gdy na wrocławską Iglicę drapało się dwóch młodych studentów — diabli wiedzą po co? — popularny „Przekrój" ogłosił felieton o Somosierze, pełen zresztą byków historycznych! I oto rozpoczęła się awantura. Z powodu Iglicy w „Dziś i Jutro" — niepodchwycona, ani nie sprowokowana przez inną prasę — i to jest bardzo niepokojące! Z powodu „Somosierry" w całym szeregu pism dość poważnych („Dziś i Jutro", „Tygodnik Powszechny", „Odra"), o sporym zasięgu wychowawczym — i to też jest wysoce niepokojące. Obie zresztą są różnymi aspektami tej samej sprawy.

„Przekrój" porobił w swym artykuliku szereg historycznych błędów. Pomylił ułanów ze szwoleżerami. Dąbrowskiego z Krasińskim, czy z Kozietulskim. Przestawił sylaby w hiszpańskiej nazwie. No i posypały się sprostowania! Bardzo słusznie. Tylko małe ale... „Przekrój" nie pomylił się w rzeczy najważniejszej: że polscy żołnierze walczyli w Hiszpanii pod Napoleonem. Że walczyli najzupełniej niepotrzebnie. To też w sprostowaniach błędów i w wygłaszanych przy tej okazji monitach o konieczności poznania historii, zanim się ją zacznie rewidować — tkwiła bardzo zręczna wolta. Przez kompromitację błędów osiągnęli (poczy mimo-woli — obojętne!) krytycy felietonu kompromitację **istoty** artykuliku, a więc de-kompromitację, (by użyć tego dziwoląga fonetycznego, dobrze jednak oddającego istotę sprawy) **kultu** Somosierry. I tu jest rzeczy sedno!

Bądźmy przez chwilę cynicznie szczerzy. Autor niniejszego felietonu tak bardzo lubi być cynicznym! „Przekrój" popełnił kilka byków — ważnych dla badacza historycznego, ale absolutnie obojętnych — gdyż nie fałszujących istoty sprawy — dla przeciętnego czytelnika „Przekroju", którego pojęcie o dziejach własnego narodu jest z reguły niezwykle prymitywne, które nigdy większe nie będzie, które nigdy nie przekroczy w najlepszym razie zrozumienia generalnego sensu pewnych wydarzeń. A o jakież błędy wytacza się proces? O szwoleżerów czy ułanów! Tam do licha — w tej skali jest to wszystko jedno. Tak jak wszystko jedno jest, gdy rozprawiamy o sensie walki podziemnej w kraju w wojnie ostatniej, czy mówić będziemy o pistoletach, czy o rewolwerach, o pepeszach, czy tommy-gunach. Wojnę przeżyłem dość czynnie i głowy pod poduszkę nie chowałem, a po dziś dzień nie wiem, jaka jest różnica między Mauzerem a Berthierem, pistoletem i rewolwerem, czy pepeszą, a rozpylaczem. A wydaje mi się, że brak tych wiadomości nie wpływa zasadniczo na słuszność mej oceny politycznej wojny ubiegłej. Oczywiście ważniejszy jest błąd mylący czas istnienia Legionu Dąbrowskiego z oddziałami Księstwa Warszawskiego, wysłanymi suwerennie i traktatowo do Hiszpanii. Choć i tu nie ma żadnej istotnej różnicy. Może ta tylko, że Legiony Dąbrowskiego mobilizowały się w służbie Napoleona bardziej ochotniczo niż wojska pozornie suwerennego księstewka. Ważne jest jedynie to, że Polacy walczyli przeciw Hiszpanom w służbie człowieka niosącego Hiszpanom tym niewolę, człowieka, który ideały rewolucji roznosił bagnetami po Europie, człowieka, którego rola w sprawie polskiej (jak o tym jasno poucza nas choćby taki Bainville, a Tarle też temu nie przeczy!), była co najmniej złowieszcza. Oczywiście nie można potępiać za to ani Dąbrowskiego, ani Krasińskiego, tym mniej Kozietulskiego, — oni wszyscy wierzyli, (a w taką właśnie wiarę naszych przodków my sami mamy prawo rzucić dopiero ostatnim kamieniem...), że przymierze z Napoleonem da zwycięstwo naszej sprawie. Ale my, żyjący lat 150 potem, mamy prawo dokonywać rozumowej selekcji elementów historycznych, które jako **wychowawcze** chcemy podać synom naszym do wierzenia i do naśladownictwa. Co my będziemy wielbić — tak oni będą postępować. Gdyż myśmy postępowali tak — jak wielbili ojcowie nasi.

W zapalczywej nagonce sięgnięto po argumenty z Kukiela — tego niepoprawnego Rzeckiego naszej historii, historyka, który w roku 1940, na emigracji, próbował dokonywać niesłychanego kunsztu dziejopisarskiego i publicystycznego, żeby w zarodku unicestwić nader podówczas na emigracji modne, gdyż logiczne i samonasuwające się porównanie Napoleona z Hitlerem. Oczywiście, że argumenty Kukiela przedstawiają decyzję Napoleona i posłuszeństwo Kozietulskiego w najkorzystniejszym świetle. (Cóż nie znano jeszcze wtedy norymberskiego prawodawstwa i żaden polski generał nie bał się tego, by go w przyszłości sądzono za „zbrodnię przeciw ludzkości", za podbój wolnego narodu dokonany w służbie czyjegoś imperializmu!). Ale, jak tam było naprawdę? Czy rzeczywiście nie można było zdobyć wąwozu w dwa dni później?... Nie wiem tego. Ale wiem coś innego. Coś co ustalić można z całą pewnością, gdyż jeszcze nie jest historią. Melchior Wańkowicz w trzecim tomie swej świetnej „Bitwy o Monte Cassino" dał wstrząsające świadectwo prawdzie o hekatombie, jakiej ofiarą padli Polacy w finale bitwy o Monte Cassino, w bitwie o Piedimonte. Morze krwi polskiej upłynęło tam tylko dlatego, że któryś z dowódców chciał osiągnąć Piedimonte zanim dojdą doń Anglicy, chciał BYĆ PIERWSZYM, a sztab II Korpusu zaniedbał właściwego dopilnowania wybryku jednego generała. Trzeci tom reportażu Wańkowicza z tego powodu czas jakiś był skonfiskowany, potem dopiero zwolniony do sprzedaży, a obrażeni generałowie spłodzili broszurę wyjaśniającą, jak „naprawdę" rzecz się miała. Nie mam żadnej gwarancji czy Somosierra w swych intencjach nie była jakimś tam (w ofiarach o wiele, rzecz jasna, mniejszym) Piedimonte, i czy jej sens nie został spaczony przez historyka - generała ślepo uwielbiającego złowrogiego cesarza Francuzów.

Ale oczywiście istota Somosierry nie polega na tym, że były tam ofiary. Było ich mniej, niż w wielu innych bitwach, jakoś mniej czczonych przez żołnierską legendę narodu. Istota polega na tym, że cały udział Polaków w tej hiszpańskiej wojnie był najzupełniej niepotrzebny, był narzędziem napoleońskiego imperializmu. I gloryfikowanie Somosierry, jako pewnego symbolu polskiej żołnierskości, polskiej brawury, polskiej odwagi — to jest coś więcej niż „mit kolorowego ułana", to jest kult żołnierskiego poświęcenia bez równoczesnego obejrzenia i zanalizowania jego politycznego sensu.

I tutaj wynikają dwie racje, dwie prawdy.

Racja historyczna i racja wychowawcza. Prawda ówczesna i prawda obecna. Pełna historia zawsze wymaga uwzględnienia tych obu racji. Wymaga zreferowania przesłanek politycznych, którymi kierowali się ludzie organizujący pewien etap dziejów, ludzie znający tylko część prawdy, ludzie często łudzący się, często jasnowidzący — i na tej pod-

stawie wydajemy sąd o nich samych, jako złych, czy dobrych politykach, wodzach, jednostkach. To będzie racja historyczna. Racja wychowawcza jest odmienna. Jest to osąd postępowania tamtego z dzisiejszego punktu widzenia. Racja dlatego zwana wychowawczą, iż każdorazowy opiniodawca - historyk czy polityk— pod tym kątem oceniać zwykł historię w jakim kierunku chciałby zorientować interesującą go grupę ludzi, interesujący go naród. Racja historyczna winna w zasadzie być niezmienna, ulegać rewizji tylko wobec odkrycia nowych dokumentów, czy ustalenia pełniejszej prawdy o danej epoce. Racja wychowawcza jest relatywna, zmienna. I inną być nie może. Gdyż stosowaną być musi do różnych grup ludzkich w rozmaitych epokach. Racja wychowawcza to zagadnienie pewnego rodzaju higieny narodowej.

I tu dochodzimy powtórnie do kultu żołnierza, kultu żołnierskości, kultu bohaterstwa oderwanego od innych zagadnień samoistnego. Kult ten istnieje u wszystkich narodów. Które często zresztą czczą go w najmniej dorzecznych i sensownych wyczynach historycznych (francuskie Waterloo, angielska Bałakława). Kult ten jednak u narodów poza tym bardzo zrównoważonych psychicznie może być cennym elementem wychowawczym. My jednak cierpimy na elephantiasis tego rodzaju kultu. Przyczyny tej nienormalności są historycznie znane i usprawiedliwione. My **musieliśmy zachorować** na tą chorobę. Ona była nam może nawet w pewnych chwilach ratunkiem, ale obecnie jest to złośliwy nowotwór zżerający organizm. Dowodów na to dostarczyła ostatnia wojna, aż nadto wiele. Dowodów zupełnie niepokojących dostarcza chwila obecna. Chłopaki wychowywane w kulcie bezmyślnej żołnierskości, uwielbiania odwag dla samej odwagi, bohaterstwa jako takiego, właśnie w kulcie Somosierry, marzą dziś o wojnie a konspiracyjne zabawy, łatwo kończące się agenturą obcego wywiadu i kratką więzienną przekładają wyżej, aniżeli pracę dnia codziennego. Na pewno nie w podziwie dla takiej dzielności należy nam wychowywać młodzież. Zrozumiał to dobrze autor „Kamieni na szaniec", kiedy wkrótce po swym hymnie na cześć podziemia (gdzie nota bene uważny czytelnik odnajdzie coś wręcz przeciwnego, niż uwielbienie dla bohaterstwa jako takiego, ale niemniej na zapalonego, a głupiego młodego czytelnika książka właśnie w ten sposób może działać!) wydał „Narodziny dzielności", gdzie zgoła inne ideały postawił młodzieży naszej do naśladowania. Ideał dzielności pracy wysiłku, uczciwości, — a nie żołnierki jako takiej! Dlaczego tego nie chcą zrozumieć dobrzy publicyści polityczni?

Ten kult odwagi samej w sobie, bohaterstwa niezależnego od istoty dokonywanego uczynku, osiąga u nas oblicze czasami wprost karykaturalne. Redakcja „Dziś i Jutro" otrzymała od jednego z czytelników list, z którego fragment pozwolę sobie tutaj zacytować:

„...Z jednej strony jest to (wdrapanie się na Iglicę — przypisy moje K. K.) — żołnierskie rzucenie swego życia na szalę w sprawie nie osobistej, nieinteresownej, a związanej z użytecznością publiczną — jest zaraźliwy społecznie i pouczający taki wysoki przykład. Z drugiej strony zachodzi tu coś jeszcze może ważniejszego. Oto zdobywa się na wysiłek — na pozór nie do pokonania — tylko ten, kto ma żelazną wolę i na nią liczy, jako na pomoc niezawodną w niebezpieczeństwie. Trzeba w sobie ćwiczyć nieraz długie lata, nieraz w męce strachu i wyrzeczeń — ten wzniosły dar rzucenia się w jakieś dokonanie, które na rozum ludzki wydaje się beznadziejne. Ten dar ma w sobie wielkość zupełnie niezależną od utylitarnych osiągnięć, które mogą się z nim łączyć. Najjaskrawiej rzuca się w oczy i jest otoczona chwałą postawa **dowódcy idącego na śmierć z garstką żołnierzy w przegranej już bitwie** (podkreślenie moje). Bez tego daru nie ma odkryć naukowych, bitew zwycięskich, umiłowanych wodzów (sic! — przyp. mój)... Wspaniali dwaj młodzieńcy nie mogli „chcieć zaimponować" dlatego po prostu, że pycha, próżność jak purchawka, balonik dziecinny czy rekord wypitych kufli piwa — mają swe granice niskie i płaskie, nigdy na 100 metrów i 48 godzin coraz cięższego wysiłku... Studenci coś chcieli, ale co? Tłumy przyglądające się z zapartym tchem ich wspaniałe w lot pojęły: oni chcieli **dokonać**. Gdyby zginęli, co było bardzo łatwe, nie osiągnąwszy szczytu mieliby i tak za sobą pierwszy aspekt zasługi: **rzucenie życia w służbie ofiarnego czynu** (podkreślenie moje) który nie był zachcianką czy fanfaronadą, a wysiłkiem dla sprawy użyteczności publicznej... Z obu studentów jesteśmy dumni. Wiemy co nimi kierowało. Nie wątpimy że po wieki następcami ich kierować będą te same szlachetne pobudki...".

Zabawne — prawda! Naród, gdzie znajdują się masy ludzi reagujących podobnie, jak autor zacytowanego listu; naród, którego jeden generał potrafił wydać rozkaz Powstania, a drugi rozkaz zdobycia Piedimonte **przed Anglikami**, taki naród — wybaczcie mim moi mili panowie „alfo", „jas" i „Niejaki Xie" — potrzebuje terapii bardzo gruntownej. I dlatego „Przekrój" miał rację, że umieścił swój atak — choćby nie wiem jak nieudolny — na mit Somosierry, gdyż jest to atak na mit bezmyślnego bohaterstwa, na mit bezmyślnego poświęcenia się, będący naszą społeczną chorobą. I miał rację ten sam czytany przez milion czytelników „Przekrój" — choć za złe ma to autor cytowanego listu — gdy nie umieszczając fotografii z wejścia na Iglicę wstrzymał się tym samym od propagowania wyczynu bardzo polskiego. Niepotrzebnego.

Kazimierz Koźniewski

Józef Majkut **Wieś bez kurtyny (IV)**

„MIĘDZY NAMI"

„Literat wyjeżdża sobie na wieś, patrzy, obserwuje, rozmawia z ludźmi, a wiedza, jaką wynosi stąd nie ma nic wspólnego z obiektywną rzeczywistością, tzn. z jakimkolwiek naukowym i sprawdzalnym ujęciem. Dziennikarskie impresje wiejskie pisarza katolickiego podpierają tylko prywatny światopogląd, jego plebańskie nawyki myślenia o wsi.

W trzech kolejnych reportażach z cyklu „Wieś bez kurtyny" Józef Majkut odmalowuje ciężkim pędzlem starą kurtynę zawieszoną od dawna na terenie wsi. Zresztą i farby nie są świeże — maluje się zużytymi i banalnymi środkami literackimi podrzędnej powieści, w której wieś wprowadzona jest dla efektu swojskości, świeżości pejzażu. Majkut ukazuje wieś jako wzór moralny dla zepsutej kultury urbanistycznej, a przede wszystkim w systemie „służby Bożej", w instytucjach kółka różańcowego, kapliczki i naturalnej „zdrowej spółdzielni", jaką jest źródło, z którego cała wieś czerpie wodę: „Niedaleko od tego obiektu nad krynicznym strumieniem stoi od wieków potężna lipa. Dla młodzieży zebranej na drodze wiejskiej zasadniczym problemem jest, dokąd iść?... Na różaniec do kapliczki w pobliżu — czy też na zabawę, skąd słychać skoczne tony harmonii"...

Wprawdzie szatan podszepnął najpierw zdrożny wybór — na zabawę, ale zdrowe sumienie młodzieży wiejskiej, zwłaszcza tej z kółka różańcowego, przeważyło — udano się na modlitwę. Potem dopiero zabawa.

„Mimo braku jakiejkolwiek propagandy trzeźwości — osławionym bimberkiem nikt nie zalatuje, zawianych nie widać. (Uwaga na zdrobnienia i pijacką gwarę). Młodzi pijani są tańcem i muzyką. Dziewuszki płoną rumieńcem, chłopcy ocierają czoła rękawami i dalej i jeszcze... Ociemniały Władzio Aksamitowicz swoją tęskną melodią bez słów porywa — unosi"...

Daje się też porywać i unosić katolicki pisarz. Obserwuje dziewczyny: „Jest ich już dziewięć. Trzy na bosaka, reszta w „potańcówkach". Ustrojone przeważnie w kretoniki"... Coś się jednak zmieniło, dziewczęta nie chodzą już w samodziałach, tylko w kretonikach. Toż to postęp nielada. Był czas, gdy księża z ambony gromili fabryczne kretoniki i uważali, że cnota chodzi tylko w samodziale.

Pochwała wsi nie kończy się na tym. W jednym reportażu chwali katolik zabawę wiejską, w drugim pracę. Chłop to właśnie opoka społeczna. Wszystko mija i przepływa. A on zawsze „wyciąga swoją normę bez premii". Przychodzą kataklizmy przyrodnicze i społeczne, ale chłop trwa. „Nie ma trudu i mozołu, któremu by nie podołał i nie było tak krytycznych czasów, których by nie przetrwał". (Czyta między wierszami: przetrwa i nasze).

Po klęsce chłop znowu „wbija pal na swoim polu, przywiązuje do niego bydlę... i tak długo kręci się wkoło krowiego ogona, aż znowu pobuduje dom i oborę".

W ujęciu wsi w systemie moralnym zatraca się zasadnicza wartość pracy — społeczna. Nadludzka często praca chłopa przy utrzymaniu skrawka ziemi pod pal krowiego ogona — społecznie nie opłaca się, służy tylko utrzymaniu na powierzchni życia nędzy wiejskiej. Chłop pracuje „w pocie czoła", bo tak pokarał Pan Bóg Adama w raju. Skąd nędza, skąd „nadludzki mozoł", to Majkuta nie obchodzi, chłop i tak wyciąga normę bez premii. Pamiętamy ten mit agrarystyczny, że chłop pracuje zawsze dobrze, że rolnictwa nie potrzeba uczyć. Normę mierzy Majkut tylko „trudem i potem", nie praktyczną wydajnością i opłacalnością gospodarki wiejskiej w ramach organizacji państwowej życia gospodarczego. Reportaże Majkuta wykazują całkowity analfabetyzm"....

— — — — — —

W takich to i tym podobnych lansadach i podskokach sąsiadka Paulina Czyżowa zastąpiła „literatowi, wyjeżdżającemu na wieś" drogę we „Wsi" i nawymyślała co się da od plebańskich nawyków, ciężkiego pędzla, śmierdzących farb itp. aż do całkowitego analfabetyzmu włącznie... Masz bracie literacie twoją „katolicką pochwałę wsi"*).

Bardzo sprytne jest to, jak mówi Wincenty Burek „sypnięcie piaskiem w oczy. Szkoda mrugać... Można tylko ryczeć jak wściekła krowa, bo piecze, boli od cholery, a piasek jest ostry i prawdziwy...

Prawdą jest przede wszystkim to, że wywodzę się z rodziny analfabetów. Babka moja śp. Tekla ze Szkamruków Baranowa (a nie baronowa) — była analfabetką zupełną, mówiąc słowami Czyżowej „całkowitą". Ale to bynajmniej nie z powodu baraniej głowy, bo „Godzinki", „Gorzkie Żale" i „Drogę Krzyżową" umiała świetnie na pamięć, tak samo jak tasiemcowe pacierze. A „gdy zaczęła mówić bajek moc, to wykwitło jak na grzędzie..." Miała więc głowę nie tylko na wszy. Analfabetką była z tej prostej przyczyny, że car nie dbał o to, aby kupić babce „bukwar". Wprawdzie pleban Ściegenny obiecywał w owym czasie „siedem lat odpustu i wybawienie od nagłej śmierci każdemu chłopu, który się nauczy czytać i pisać" — lecz wyjechał za to na 40 lat w krainę zorzy i na tym się skończyło.

Matka, Maria z Baranów Majkutowa sylabizowała już ale tylko drukowane.

Ojciec czytał biegle „nawet rzekłbym" artystycznie lecz ino „żywoty świętych" i synowi na tych żywotach co większe litery pokazywał. Do kościoła jednak chłopak nie chodził często: było daleko i do czternastego roku życia, nigdy nie miał butów. Gdy czasem w lecie wcisnął się do świątyni, to dźwięki organów, rzeźby złocone, wonie kadzideł i łacińskie modły kapłanów — były dla pastucha najwspanialszym ideałem sztuki, świetności, świętości i piękna... Stąd zapewne pozostały te „plebańskie nawyki".

Podobno matka nawet marzyła o tym, żeby bęcwał został plebanem, lecz niestety zmarło jej się prędzej wcześnie, a kościół, dbając tylko o zbawienie duszy — życiem doczesnym bosego analfabety, specjalnie się nie interesował. Chłopak pozostał tym czym był: wolnym najemnitą za łyżkę barszczu. Do nikogo szczególnego nabożeństwa nie żywił, bo sam na wojennym cmentarzu, pod białymi brzozami, wyzwalał się od analfabetyzmu tak długo, aż zrozumiał sens niemieckich i rosyjskich napisów. Do gimnazjum, niczym do świętych ołtarzy przez wiele lat wzdychał napróżno — w przedwrześniowej szkole było dla niego niemniej dalekie, jak Jeruzalem. Udało mu się jednak do jednorocznej szkoły rolniczej i tu obok encyklopedii gospodarstwa wiejskiego napatoczyła się „Wielka literatura powszechna". Ateny, Rzym, Babilon i stary Kon-fu-tse uświadamiali parobka przez szereg nocy, że człowiek bez względu na epokę i położenie geograficzne zawsze pozostaje człowiekiem; tak samo kocha, cierpi i nienawidzi; tak samo potrafi wznieść się na szczyty ideałów, lub stoczyć w otchłań barbarzyństwa;

Takie i podobne odkrycia były dla głodnego juhasa nie mniejszą rewelacją, jak dla Kolumba Ameryka. Zainteresowała go też młoda dziewczyna chińska sprzed trzech tysięcy lat, dlatego, że tak samo z drżeniem serca oczekiwała pierwszej schadzki miłosnej w kwiecistym ogrodku jak powiedzmy... Czyżowa pierwszy raz na swego narzeczonego. Na podarte portki nikt nie leciał...

Wybaczy więc Czyżowa, że „pisarz katolicki unosił się" trochę opisując wiejskie dziewczęta w Starogrodzie. Bo, jak Czyżowej wiadomo, lata idą, a człowiek zamiast „mieć dyrektora i demokratkę" — musi teraz dopiero kończyć studia i wciąż o własnych siłach. Czasem naprawdę jest ciężko. Dlatego też zapewne tak „ciężki" — w oczach Czyżowej — jest mój pędzel przy „odmalowywaniu starej kurtyny". Czyżowa twierdzi, że odmalowanie to, pozbawione jakichkolwiek walorów artystycznych, nie ma również „nic wspólnego z obiektywną rzeczywistością, tzn. z jakimkolwiek sprawdzalnym ujęciem".

Nie wszyscy jednak czytając „Wieś bez kurtyny" byli tego zdania. Znaleźli się wśród czytelników jeszcze i tacy „naiwni", którzy nie tylko uwierzyli w to co pisałem, ale szczerze się tym przejęli.

Jeśli Czyżowa tak uważnie przyglądała się „kurtynie" gwoli zwymyślania jej, to Czyżowa zapewne przypomni sobie dzieciarnię z pierwszego reportażu, która chciała się koniecznie uczyć, a mimo wszystkich reform nie miała możności, bo nie stać jej na utrzymanie się w mieście... Otóż mogę Czyżową poinformować, że Halinka jest w gimnazjum w Lublinie. Przyjął ją bezinteresownie — jeden z profesorów gimnazjalnych, którym jak wiadomo „na forsie nie zbywa". Jednak po przeczytaniu reportażu zgłosił chęć pomocy. Oto urywek z listu: „Bardzo mnie wzruszył los tych dzieci, które nie mają warunków do dalszej nauki i pragnąłbym w miarę swych skromnych możliwości pomóc któremuś z nich. Ponieważ jestem profesorem gimnazjalnym w dwóch szkołach żeńskich, łatwiej by mi było umieścić jakąś dziewczynkę. Płaciłbym stancję i szkołę, również koszta przejazdu dziecka do Lublina. Opinii o mnie mogą udzielić dyrekcje Gimn. „M. Sobolewskiej" (1 Maja 10) i „W. Arciszowej" (ul. Kapucyńska 6)".

Kilka dni później: „Umieściłem Halinkę w szkole i zarazem w szkolnym internacie. Zrobiła na wszystkich b. miłe wrażenie, w przeciwieństwie do matki, kutej na cztery nogi".

Jeszcze później: „Może jednak dobrze się stało, że właśnie Halinką się zaopiekowałem, bo z artykułu Pana wynika, że ma b. trudne warunki domowe. Tu czuje się chyba dobrze, widzę ją zawsze wesołą".

Zacnemu profesorowi w Lublinie, niech mi wolno będzie w imieniu wsi, Redakcji i Halinki złożyć na tym miejscu jak najszczersze podziękowanie.

Chociaż nie tylko Lublin... Druga dziewczynka jest w Zamościu.

*) „Wieś" nr 44.

Trzech chłopaków w Warszawie, zgłosił się również Poznań. A więc i katolicki pisarz i pismo jeszcze coś znaczy, nawet wśród miejskiej inteligencji. Dumny jestem z tego, że, sam nic nie mając, potrafiłem swo im piórem dzięki szpaltom „Dziś i Jutro" i czułym ludzkim sercom — pięciorgu z wiejskiej biedoty — otworzyć bramy gimnazjum, które nigdy nie otwarły się dla mnie. I to do dziś mnie jeszcze boli. Z tym chłopskim bólem, jak Czyżowej wia domo, choćby z nr 48 „Wsi" napróżno biegałem po wszystkich redakcjach — niby kot z pęcherzem. Chłop o nieznanym nazwisku nigdzie nie był potrzebny i nikt go nie chciał wysłuchać... Pierwsze na taką kompromitację(!) odważyło się pismo katolickie. Dlatego zapew ne wieś widziana moimi oczami „analfabety" tak bardzo Wam się nie podoba. Nazywacie ją „katolic ką pochwałą" — „wyjeżdżaniem literata na wieś". Otóż, nie dodając przymiotnika do Waszego „pędzla", stwierdzam, że się mylicie. Jest przeciwnie! To nie literat wyjeżdża na wieś, ale właśnie wieś podjeżdża do miasta. Tak jak codziennie: z cebulą, z kartoflami i z bańkami na plecach...

Nie upieram się bynajmniej, że tak jest najlepiej, że tak musi być wiecznie, ale tak jeszcze jest. A jeś li choć raz Czyżowa widzieliście wieś inną jak ta, która Wam udziela swych szpalt, to przyznacie, że są również na wsi kapliczki, kółka ró żańcowe, pobożność, ochota, prostota, przywiązanie do ziemi, jałowy trud i uzasadniona wiekami nieufność.

Ambicją reportaży „Wieś bez kurtyny", jak zaznaczyła redakcja na wstępie i Wyście to złośliwie zauważyli — nie jest polemiką, ale pokazaniem rzeczywistości tak jak ją widzi chłop — wyrosły w cieniu wielowiekowej lipy.

„Wieś polska, jak i cały kraj prze chodzą wielkie przeobrażenia, otwie rając przed narodem nadzwyczajne perspektywy. Te perspektywy winien twórca ukazać w swoim dziele: jak najśmielej, niech wstrząsa naszymi sumieniami, naszymi sercami, niech wskazuje nasze błędy i nasze zdobycze".

Tę oficjalną wypowiedź do chłop skich pisarzy, Wy, Czyżowa, jako stojąca bliżej trybuny na pewno słyszeliście. Hołdujemy jej każdy ze swego punktu widzenia. Wy, dzięki, zapewne normalnie odbytym studiom i uświadomieniu społecznemu, stoicie już na tej miedzy, za którą rozciągać się będą tylko szerokie łany zbóż, żadnego „trudu i mozołu", bo role te będą uprawiały maszyny i traktory. Dlate go też jesteście zdania, że należy wyciąć wszystkie „wielowiekowe lipy". Niech nie zabierają słońca, nie wypijają soków.

Ja urodziłem się pod „starą lipą" nędzy i poniewierki, bezowocnego trudu i mozołu, i tkwię tam jeszcze dotychczas. Mam więc dostateczne powody i prawo do tęsknoty za słońcem i traktorami, a więc dobrobytem wsi.

Ale ktokolwiek zetnie gromadzką lipę w Majdanie, zetnie moją przeszłość i ukochanie. Lipa w Majdanie nie jest moją własnością — tak jak nigdy nim nie był wspaniały drzewostan hrabiowskiego parku w X... Lecz gdy patrzę dziś jak bez myślnie i bezcelowo walą się stuletnie wiązy i klony, które sadził mój pańszczyźniany dziadek — to mi jest żal — i niech mi wolno będzie — w myśl ochrony zabytków przyrody — zwrócić uwagę ogółu, że drzewa tak prędko nie rosną, a park hrabiowski podlewany potem niewolnych pradziadów — niech daje radość życia wnukom.

Piszę tylko o tym co dźwigam na własnych plecach od przeszło ćwierć wieku, o tym co przygniata i raduje wieś od stuleci, o tym co przeżywamy na wsi dziś. Czyżowa twierdzi, że robię to jak analfabeta, że nie znam wsi. Podobno: in arrte sua quilibet rex... Nie sprzeczam się... ale wspominając na słowa babki (całkowitej analfabetki), która kazała mi zawsze dobrym za złe płacić — nie życzę Wam Czyżowa, aby dzieci Wasze tak „wyjeżdżały" na wieś, i poznawały ją jak ja wyjeżdżałem boso po śniegu a potem z pokrwawionymi palcami za pługiem i po ścierniskach.

Darujcie moją nieudolność we władaniu „pędzlem" i jego specyficzny ciężar. Pozostało mi to jesz cze po intensywnym machaniu kosą, widłami i siekierą, Po prostu przyzwyczajenie. Zbyt lekki pędze lek jak Wasz do czernienia rzęs...— nie dałby mi zamachu. „Pijacka gwara" — koń zarżałby do Was w uśmiechu, gdybym mu to przeczytał, bo obydwaj mamy jednakowy „pociąg" do bimbru.

Powiadacie „farby nie są świeże". Tego rodzaju szeptanej konkurencji nie obawiam się. Wiem z doświadczenia, że każdy konsument biorąc od chłopa towar obwąchuje zwykle, więc kto zechce się przekonać zdecyduje sam.

O jedno Was tylko proszę i błagam zacna Sąsiadko: nie każcie swoim czytelnikom czytać w moich reportażach także „między wierszami". Bo to wiecie jest sztuka trudna, wielu może zniechęcić do czytania w ogóle, a poza tym między wierszami tak jak między miedzami: nie wiadomo co w zbożu śpi, „co w trawie piszczy". Ja powiem pasikonik, a Wy zaraz — wąż i mogę być pokaranym. „Tak pokarał Pan Bóg Adama w raju", — zaznaczyliście na początku. Pokarał właśnie przez Ewę, za jej ciekawość węża między jabłoniami. Adamisko musiało za babę pokutować jako małżonek, ale ja... z jakiej racji?

JÓZEF MAJKUT

Majdan Sitaniecki, 28.XI.1948 r.

Zygmunt Lichniak

„PRZĘDZIWO JOLANTY"

1.

Jan Dobraczyński należy do tego typu pisarzy, którzy pracują w swoim warsztacie pisarskim w sposób wytężony i pełen twórczego trudu. Literatura nie jest dla nich ani marginesem, gdzie składa się ofiary jakimś pobocznym „natchnieniom" ani notatnikiem, gdzie notuje się wrażenia chwili, ani szkicownikiem, gdzie kreśli się kilkoma rzutami sylwetkę zagadnienia lub postaci. Literatura jest dla nich rzemiosłem. Poświęcają jej wszystkie swoje dni, wszystkie niemal wysiłki, bo rzemiosło to specjalne, trudniejsze i odpowiedzialności większej wymagające, rzemiosło artystyczne.

Że Dobraczyński wkłada w swój zawód pisarski maksymalną chyba ilość pracy, świadczą nie tylko rosnące z każdym rokiem pozycje jego osiągnięć literackich, ale także ich różnorakość, odmienność gatunkowa, szeroki wachlarz ujęć, bogactwo rodzajów pisarskich. Essey, nowela, powieść, szkic powieściowy, opowiadanie, a ostatnio dramat...*)

W tej różnorakości uprawianych przez Dobraczyńskiego gatunków tkwią nie tylko walory, ale i niebezpieczeństwa jego pisarstwa. Można — a nawet chyba należy — dopatrywać się w tym pewnego niezdecydowania, niepokoju twórczego, który zabrania pisarzowi doskonalić jedną tylko dziedzinę twórczości, pogłębiać jedną tylko koncepcję literacką, opracowywać jeden gatunek ekspresji. Zastrzeżenie to — jak łatwo zauważyć — jest raczej sugestią, niż zarzutem. Gdyby ktoś potraktował je jako zarzut, padłby ofiarą własnych sformułowań, bo przecież pisząc essey'e wiele się można nauczyć i wiele wydoskonalić w technice powieści, komponując powieść łatwo uchwycić kanony poetyki nowelistycznej, szkicując nowelę — trafić można na wyjaśnienia zawiłości konstrukcji dramatu.

To ostatnie wyjaśnienie zaostrza ciekawość, wzbudza większe zainteresowanie dla nowej próby Dobraczyńskiego, dla jego dramatu. Jak powieściopisarz i nowelista uporał się z trudnościami tego gatunku, który odmiennymi operuje środkami ekspresji, odmiennych wymaga uzdolnień?

„Przędziwo Jolanty" jest dramatem, który miał do przezwyciężenia w sobie specjalne trudności, wynikłe ze specjalnych intencyj autora. Zanim się odważymy na ryzyko odcyfrowania tych intencyj, warto przez chwilę zatrzymać się na jednym zagadnieniu ogólnym.

Czy bohaterem dramatu może być idea? Tragizm króla Edypa, Antygony, Fedry, czy — aby przejść do najwybitniejszych osiągnięć dramatu polskiego — tragizm Jakóba, ks. Jana, czy Hioba jest — mimo wszystko — tragizmem wynikłym z takiej, a nie innej konstrukcji psychicznej bohaterów. Gdyby Antygona była jakąś antyczną „panną z mokrą głową", a Jakób birbantem i łetkiewiczem, ani problem rozdroża etycznego, ani problem „ocalenia" nie wzruszałyby i nie wstrząsały, bo — rozminęłyby się z ludźmi, którzy ich ujrzeć nie chcieli lub nie mogli. Zwróćmy uwagę na zastrzeżenie: „mimo wszystko". Nikt nie odmówi słuszności uwadze, że poza człowiekiem istnieją jakieś uwarunkowania **(ale nie determinanty)** jego losu, że konstrukcja tego losu od tych zewnętrznych uwarunkowań jest częściowo, **(ale nie całkowicie)** zależna. Zawsze jednak główne siły tkwią w konstrukcji psychicznej jednostki. Jak wzruszy i przekona do swego tragizmu dramat, który nie na jednostkach, ale na jakiejś ogólnej idei skupi swoje światła? Jak wyrazi swoją prawdę, dla której powstał, jeśli ożywia go niezwykła ambicja, aby widz nie przeżywał dramatu tego, czy innego człowieka, lub nawet grupy ludzi, ale wzruszył się dramatem idei? Przede wszystkim — idei. Bo, że cierpiąc nad losami konkretnego Edypa lub konkretnego Jakóba, przeżywamy jakoś — drugoplanowo i podświadomie — dramat fatalistycznej konstrukcji losu ludzkiego, lub dramat nieobecności Łaski, to prawda, ale nikt dotychczas nie zaryzykował odwrócenia tej hierarchii przeżyć, nikt nie pokusił się o to, aby ludzie odeszli ze swoimi osobistymi przeżyciami, a pozostała idea jako główny bohater. Czy konstrukcja dramatu pozwala na uleganie takim pokusom?

Na to pytanie powinno odpowiedzieć „Przędziwo Jolanty". Bo w dramacie Dobraczyńskiego właśnie idea jest głównym bohaterem, jej losy były prawdopodobnie przedmiotem zainteresowania autora, jej oświetlenie i ukazanie jej uzależnienia od losów ludzkich leżało chyba w jego intencjach.

Jak sobie z tą ciekawą i nową koncepcją poradził?

Zacznijmy od informacji.

Ideą, której losy dramat przedstawia jest idea jedności. Konkretniej: jedności politycznej państwa polskiego. Tłem dla wypadków i akcji, a raczej częścią wypadków i akcji są wydarzenia historyczne lat 1279 — 1296. Na przestrzeni tych lat siedemnastu widzimy spory tłumek postaci (ponad trzydzieści — nie licząc statystów), z których część zabiega troskliwie o scalenie rozbitego na dzielnice państwa polskiego (Jolanta i jej przędziwo, snute na płaszcz przyszłego króla zjednoczonego kraju są tych zabiegów symbolem), druga zaś (reprezentowana przez polityków niemieckich) robi wszystko, co może, aby do tego nie dopuścić. Ofiarą tych sprzecznych z sobą dążeń pada Przemysław. Ale idea jedności pozostaje. Pamięta o niej Jolanta. Oddaje swoje przędziwo Władysławowi, który powtarza za nią, jak przysięgę słowo: „jedność".

Dalsze losy tej jedności opowiada historia, aż po dzień dzisiejszy.

Dramat odsłania mechanikę sprzeczności, które powtarzają winy poprzedników i zamykają błędne koło bezowocnych wysiłków. Przemysław nie zrealizował zamierzonej idei, bo zagubił jej istotny, wewnętrzny sens w zawiłych racjach stanu i skomplikowanych założeniach własnej dumy, pychy, rodowej niechęci dla obcych. Ocaliła tę ideę Jolanta, snując symboliczne przędziwo w celi klasztornej, ze słowami żarliwej modlitwy na ustach. Przejmuje od niej złotą przędzę ambitny książe sieradzko - kujawski. Tragiczne da capo al fine...

W czytelniku, (a prawdopodobnie i w widzu) dramat idei jedności rysuje się dzięki Dobraczyńskiemu jasno i przekonywująco. Autor potrafił utrzymać problem na planie pierwszym, a postaci odsunąć na plan drugi. Buntował się przeciw temu Przemysław, buntowała się postać Ofki, nie mogła się z tym pogodzić Jolanta, czasami nawet Maryna, starała się zasłonić sobą istotny sens wypadków. Autor musiał walczyć ze swoimi postaciami, aby nie one ale to, co usprawiedliwiało ich udział w akcji, było najważniejsze.

Czy z walki tej wyszedł zwycięsko?

Odmawia mu prawa do tego triumfu, skupiająca na sobie dużo uwagi postać Bolesława Pobożnego (z I aktu), którego problem psychologiczny, odrysowany subtelnie i wnikliwie, zdolny jest pochłonąć wzruszenie widza i czytelnika. Nie świadczy także o zwycięstwie autora postać Przemysława i cały, najmocniejszy w sztuce, trzeci akt, którym skłonni jesteśmy cieszyć się, jako świetnie zrobioną i mistrzowsko przeprowadzoną intrygą dramatu historycznego.

Własne postacie pokonały w wielu miejscach Dobraczyńskiego. Przedarły się na plan pierwszy, zajęły widza swoimi losami, swoimi konfliktami, odciągnęły od dramatu idei ku skomplikowanemu dramatowi żywych, zwykłych, zagubionych w swoich problemach ludzi. Mimo pokaźnej ilości, każda postać z „Przędziwa Jolanty" żyje swoim odrębnym życiem, prawie każdej postaci (choćby dalszo - planowej, jak np. wspaniałej Marynie), potrafił autor nadać cechy specyficzne, jej tylko właściwe, nie pozwalające na zlewanie się z tłem, na zacieranie swego wyraźnego profilu.

Ta galeria postaci, wypracowanych i ciekawych, a przez to przyciągających uwagę i absorbujących widza, jest jednocześnie negatywną odpowiedzią na początkowe pytanie: czy konstrukcja dramatu pozwala na uleganie takiej pokusie, jaka uwiodła Dobraczyńskiego?

Nie. Dramat, gdzie głównym bohaterem byłaby idea, chociaż ma wielkie wartości ideologiczne i wyrazistszą wymowę dydaktyczną, jest zaprzeczeniem zasadniczych praw, niezgodnością z najważniejszymi postulatami dramaturgii, która problemy ukazuje nie tylko przez człowieka, ale — w człowieku. I Dobraczyński dowiódł tego „Przędziwem Jolanty". Zawiodła go koncepcja, ale nie zawiódł instynkt artysty: zamiast historycznego dramatu idei, stworzył historyczny dramat ludzi żywych, usiłujących na swój ludzki, pełen przypadłości sposób realizować wielką ideę jedności.

I ten dramat powinien do nas przemówić ze sceny.

Czy ma do tego warunki? Czy jest sceniczny?

Zdaje się, że kilkuletnie antrakty między poszczególnymi aktami nie są dodatnią w tym wypadku cechą, a przenoszenie akcji, aż w trzy miejsca i mobilizowanie do niej chyba pół setki aktorów też nie odgrywa roli zachęty, jednak mimo tych trudności — nie tak zresztą trudnych do przezwyciężenia — „Przędziwo Jolanty" powinno ukazać się na scenie. Jego wartość ideologiczna, walory artystyczne, świetna specyfikacja charakterologiczna postaci, wreszcie tzw. aktualność „wydźwięku" nie zdołały jednak przełamać innego widocznie rodzaju oporów. Dramat bardzo się podobał, ale — na scenie go w najbliższym czasie nie zobaczymy.

Szkoda. Duża szkoda.

Tym większa zasługa Władysława Bąka, że dzięki jego wydawnictwu tysiące czytelników pozna „Przędziwo Jolanty". Bo o poczytność swoich utworów Dobraczyński, chyba najmniej w Polsce potrzebuje się martwić.

Zygmunt Lichniak

*) Jan Dobraczyński: „Przędziwo Jolanty", dramat w IV aktach, str. 158. wyd. Wł. Bąka, Łódź — Wrocław, 1948 r.

Następny, Gwiazdkowy numer „DZIŚ i JUTRO" ukaże się w świątecznej objętości już 20 grudnia

Książki dla dzieci na gwiazdkę

W związku ze zbliżającą się Gwiazdką, pragniemy pomóc rodzicom w wyborze odpowiedniej książki, która jest zawsze niewątpliwie najmilszym i najbardziej wartościowym podarunkiem dla każdego dziecka.

Wiedząc, ile kłopotu sprawia często właściwy wybór lektury nie obrażającej naszego poglądu na świat, dostosowanej zarówno do wieku, jak i do zainteresowań, posiadającej jednocześnie wartości pedagogiczne i literackie. Podajemy szereg wydawnictw skrupulatnie przejrzanych i ocenionych z krótkimi omówieniami.

DLA DZIECI MŁODSZYCH:

St. Szuchowa — STASZEK KUPUJE NOWE BUTY — wyd. Światowid — (9—10 lat) — interesujące opowiadanie, związane z ważnym dla każdego dziecka momentem kupowania nowego obuwia.

St. Szuchowa — GOSPODARSTWO MADZI I JACKA — wyd. Arcta, ilustr. Z. Jagodzińskiego — (9 — 10 lat) — Jacek i Madzia zakładają na samotnej leśnej polance własne, samodzielne gospodarstwo, sami budują chatkę, uprawiają ogródek, hodują gołębie i kozę.

Książki Szuchowej posiadają szereg ważnych momentów wychowawczych, zapoznają dziecko z radością i odpowiedzialnością pracy, uczą i informują w formie zawsze interesującej, nie budzącej zastrzeżeń ani od strony wartości literackiej, ani znajomości psychiki młodocianego czytelnika, stanowią jedną ze wszechmiar pożądaną i zalecaną pozycję literatury dziecięcej.

Januszewska H. — JAWOR, JAWOR..., wyd. Czytelnika, ilustr. Szancera i Biernackiej (7—8 lat). Historia wędrówek stracha na wróble, pełna czaru i poezji, posiadająca wysoką wartość artystyczną, odpowiednia dla dzieci o wrażliwszej wyobraźni.

Januszewska H. — SIWA GĄSKA SIWA..., ilustr. Jakimowicza, wyd. Naszej Księgarni (7—8 lat), wierszowane opowiadania o gąsce i wronie tak jak zawsze u Januszewskiej, odznaczające się szczerą poezją i melodyjnością.

Konopnicka Maria — NA JAGODY, wyd. Gebethnera i Wolffa (7—8 lat).

Konopnicka Maria — O KRASNOLUDKACH I SIEROTCE MARYSI, wyd. Arcta (9—10 lat).

Konopnicka nie wymaga specjalnych zaleceń. Z własnych wspomnień dzieciństwa wiemy, jak cudowną stanowiła wówczas lekturę. Wartość jej utworów dla dzieci jest nieprzemijająca.

Szelburg-Zarembina Ewa — MARYSINA SŁUŻBA, wyd. Naszej Księgarni, ilustr. M. Byliny (7—10 lat). Przygody dziewuszki o złotym serduszku i jej 12 niezwykłych towarzyszy.

Szelburg-Zarembina Ewa — RZEMIEŚLNICZEK - WĘDROWNICZEK, ilustr. Borowskiego, (9—10 lat). Zbiór baśni, łączących tematykę fantastyczną z motywami realnej pracy ludzkiej. Duża wartość artystyczna i wychowawcza.

Szelburg-Zarembina Ewa — PODRÓŻ PO MIEŚCIE, ilustr. Siemiątkowskiego, wyd. Naszej Księgarni, (6—9 lat). Wierszowany opis środków komunikacji w wielkim mieście. Wpleciona w opowiadanie historia chłopca lekkomyślnego, wskakującego do tramwaju. Duża wartość pedagogiczna.

Porazińska J. — BYŁA SOBIE GĄSKA, wyd. Naszej Księgarni. (7—9 lat). Podróż gąski po Śląsku wprowadza czytelnika w dzieje Piastów śląskich.

Porazińska J. — JAŚ I KASIA, ilustr. Z. Stryjeńskiej, (10—11 lat), barwne, wierszowane opowiadania oparte na motywach pieśni i legend ludowych.

Porazińska J. — KICHUS MAJSTRA LEPIGLINY, ilustr. M. Byliny, wyd. Naszej Księgarni, (9—10 lat). Przygody glinianego człowieczka w dawnym Krakowie. Gliniany Kichus jest zawsze pełen ofiarności i poświęcenie dla każdej dobrej sprawy. Kupować!

Grabowski Jan — EUROPA, wyd. Naszej Księgarni, (7—9 lat). Opowieść o kotce której plamy na futerku przypominały mapę.

Grabowski Jan — FINEK, ilustr. Kozmińskiego, wyd. Naszej Księgarni (8—9 lat), dzieje psiego niemowlęcia, wychowanego wśród ludzi.

Kownacka — ŚWIERSZCZYNOWY KRAM z ilustracjami (8 — 9 lat).

Kownacka — KAJTKOWE PRZYGODY, ilustr. Sopoćki (8—10 lat).

Książki Kownackiej odznaczają się humorem i pogodą, posiadają wiele momentów wychowawczych i niewątpliwą wartość artystyczną.

Krzemieniecka Lucyna—Z PRZYGÓD KRASNALA HAŁUBY, wyd. Światowida (8—9 lat). Przedziwne przygody krasnala wprowadzają dziecko w świat przyrody zapoznają z życiem najbardziej znanych zwierząt.

Themerson S. — JAK PAN TOM BUDUJE DOM, z ilustr. autora, wyd. Czytelnika. Ciekawa na wpół fantastyczna historia o powstaniu nowego domu.

Mortkowicz - Olczakowska H. — DZIEŃ KRYSI — z ilustr. wyd. Książka (7 — 8 lat).

Mortkowicz - Olczakowska H. — JAK WSZYSTKO SIĘ ZMIENIŁO wyd. Gieszczykiewicza (9 — 10 lat). Miłe interesujące opowiadania, posiadające wiele wartości wychowawczych a pozbawione całkowicie tak nużącego dzieci moralizatorstwa.

Milne — CHATKA PUCHATKA I KUBUŚ PUCHATEK — obie książki w tłum. Tuwima wydane przez „Książkę" (9 — 10 lat) opisują nadzwyczajne przygody chłopczyka Krzysia i jego zabawek. Humor i fantazja dostosowane doskonale do psychiki dziecka.

DLA DZIECI MŁODSZYCH:

Domańska A. HISTORIA ŻÓŁTEJ CIŻEMKI — wyd. Albertinum Księgarnia Św. Wojciecha ilustr. Pawlikowskiej (11 — 12 lat) — powieść z czasów Kazimierza Jagiellończyka o wysokich walorach literackich, opisująca w żywej i interesującej akcji historię tajemniczej żółtej ciżemki znalezionej za Wielkim ołtarzem NPM rzeźbionym przez Wita Stworza. Oparta na ścisłych źródłach historycznych, zapoznaje doskonale z ówczesną epoką, jej życiem i zwyczajami.

Bobińska Helena — O SZCZĘŚLIWYM CHŁOPCU — wyd. Czytelnika (10 — 11 lat) pogodna i miła opowieść o tym, jak zdobywa się szczęście przez uszczęśliwienie innych. Tłem tej książki jest życie na wsi.

Żabińska A. — DŻOLLY I S-KA, WYD. Gebethnera i Wolffa 10 — 11 lat).

Żabińska A. — RYSICE — (10 — 11 lat).

Ciekawe opowiadania o zwierzętach wychowywanych wśród ludzi oparte na autentycznych przeżyciach szeregu zwierząt wychowanych w domu dyr. warszawskiego ZOO dr. Żabińskiego.

Gruszecka A. — W GRODZIE ŻAKÓW — wyd. Czytelnik — Powieść z życia żaków krakowskich za czasów panowania Zygmunta Augusta. Przygody żaków opisuje autorka żywo, plastycznie, z dużą znajomością epoki. Bardzo wartościowa i pożądana lektura dla dzieci w wieku 13 — 14 lat.

Kann Maria — PILOT GOTÓW wyd. Czytelnik — opowieść o przeżyciach trójki przyjaciół na kursie szybowcowym. Książka napisana z dużą znajomością fachową, wiernie odtwarza atmosferę lotniczą, wczuwa się w psychikę ludzi powietrza. Interesująca lektura zwłaszcza dla chłopców.

Zofia Kossak — PUSZKARZ ORBANO, wyd. Czytelnik — Jak wszystkie książki Zofii Kossak-Szczuckiej odznaczają się wiernym oddaniem epoki i faktów historycznych, opisuje okres upadku Bizancjum. Ciekawa, wartościowa książka, napisana z wielkim talentem.

Konopnicka Maria — OLIMPIJCZYK — Wyd. Światowid — książka przenosi czytelnika w epokę Peryklesa „Złoty wiek" Grecji, posiada wszystkie wartości dobrej i wartościowej książki dla dzieci starszych.

Górska H. — O KSIĘCIU GOTFRYDZIE RYCERZU GWIAZDY WIGILIJNEJ — ilustr. Hiszpańskiej — wyd. Światowid — książka na wyjątkowo wysokim poziomie artystycznym, wprowadzająca czytelnika w atmosferę i urok legendy średniowiecznej.

Karin Michaelis — DZIECI Z NYHAWN — wyd. Światowid — Ciekawa akcja z odcieniem detektywistycznym, pozbawiona elementów moralizatorskich, posiadająca natomiast wiele wartościowych pierwiastków wychowawczych.

Dąbrowska Maria — DZIECI OJCZYZNY — wyd. Mortkowicza — z talentem napisane opowiadanie, nadające się dla wieku 11 — 12 lat.

Gjems - Selmer — NAD DALEKIM, CICHYM FIORDEM — wyd. Mortkowicza — ciekawa, miła książka dla dzieci w wieku 11 — 12 lat.

Kamiński A. — ANTEK CWANIAK — wyd. Harcerskiego biura wyd. — wesoła, przyjemna lektura dla dzieci w wieku 11 — 12 lat.

Burnett H. — TAJEMNICZY OGRÓD — wyd. Geb. i Wolffa — Książka opisuje dzieje nieznośnej dziewczynki, która pod wpływem przyrody i szlachetnych, prostych ludzi staje się dobrą i samodzielną.

Makuszyński K. — SKRZYDLATY CHŁOPIEC — wyd. Geb. i Wolffa — jak wszystkie książki Makuszyńskiego potrafi wzruszać często poprzez śmiech. Tematyka lotnicza. Lektura odpowiednia, zwłaszcza dla chłopców.

Zalewska J. M. — MŁODY WYGNANIEC — wyd. Geb. i Wolffa — Powieść o indianach, niepozbawiona pierwiastków głęboko wychowawczych. Niezwykle frapujące przygody. Lektura odpowiednia zwłaszcza dla chłopców.

Gojawiczyńska P. — DOM NA SKARPIE — wyd. Czytelnika — opowieść z życia małego warszawiaka, której tłem jest życie dużej czynszowej kamienicy. Wartościowa i z talentem napisana książka dla dzieci starszych.

Gruszecka A. — OD KARPAT PO BAŁTYK — wyd. Czytelnika. — Przygody chłopca, który wywieziony przez niemców ze wsi podhalańskiej, trafia do Kaszubów i poznaje głębokie związanie ich z Polską.

Konarski — KRZYWE KOŁO — Wyd. Naszej Księgarni — Powieść na tle życia Warszawy, z okresu oblężenia, okupacji i powstania. Wartościowa lektura dla dzieci w wieku 12 — 14 lat.

E. Bass — KLUB JEDENASTU— wyd. Czytelnika — Wyjątkowo wartościowa powieść o tematyce sportowej, napisana żywo i interesująco.

Maria Szalay-Groele — STRASZNE DZIEDZICTWO — wyd. Albertinum — Ciekawa, interesująca powieść z czasów Wład. Jagiełły.

E. Atkinson — BOBIK OD FRANCISZKANÓW — wyd. Albertinum— Wzruszająca historia o przyjaźni psa i ludzi. Doskonałe rysunki K. Mackiewicza. Bardzo wartościowa pozycja literatury młodzieżowej.

Eug. Kobylińska — JAK I. B. ODKRYŁA NOWY LĄD — wyd. Albertinum — Miła i pogodna powieść z życia szkolnego, niepozbawiona wartościowych momentów wychowawczych.

Makuszyński K. — SZATAN Z 7-MEJ KLASY — pogodna powieść, napisana z właściwym autorowi poczuciem humoru i interesującej fabule z odcieniem detektywistycznym.

Lofting — CYRK DR. DOLITTLE — wyd. Światowid — Z talentem napisana książka, opisująca przygody dr. Dolittle i jego zwierząt.

Zakrzewska — POJEDNANIE — wzruszająca powieść o dużych wartościach wychowawczych, wyd. Kamiński — Kraków.

Świrszczyńska A. — ARKONA — wyd. „Książki" — wartościowa i interesująca książka, opisująca życie dawnych Słowian.

Molnar — CHŁOPCY Z PLACU BRONI — zawsze jednakowo żywa i wzruszająca książka, napisana z wyjątkowym talentem. Wyd. Mortkowicza — Kraków.

Morcinek — GWIAZDY W STUDNI — wyd. Związku Nauczycielstwa Polskiego — jak wszystkie książki tego autora powieść ta nie potrzebuje specjalnych zaleceń, stanowi zawsze wartościową lekturę.

Katajew — SAMOTNY BIAŁY ŻAGIEL — wyd. „Książki" — powieść autora sowieckiego o ciekawej i wartościowej, głębokiej treści.

Boguszewska — ŚWIAT PO NIEWIDOMEMU — interesująca i głęboka lektura dla dzieci starszych i młodzieży. Wyd. Geb. i Wolffa.

Deotyma — PANIENKA Z OKIENKA — wyd. Trzaski i Everta — zawsze jednakowo ciekawa i wartościowa lektura, dla dzieci i młodzieży.

Dla Młodzieży:

Polecamy takich autorów, jak Dickens, Gąsiorowski, Zofia Kossak, Curwood, London, Kraszewski, Centkiewicz Wacław, Makuszyński, Gruszecka A., Kann Maria, Montgomerry, Meissner, Morcinek, Parandowski — Dysk Olimpijski.

* * *

Antonina Domańska — Historia żółtej ciżemki — wyd. Księgarni św. Wojciecha — Poznań, 1948, ilustr. Leli Pawlikowskiej, str. 298.

Mały Wawrzuś nawedzony jakąś niezwykłą ochotą do „rzezania" w drzewie ptaszków, piesków i tym podobnych cudowności, ucieka z domu w obawie przed w twarde więzły powiązanym postronkiem, którego razów nie szczędził mu w najlepszej wierze ojciec, chcąc owo „zapamiętywanie się" chłopca wybić mu z głowy drogą być może nieco okrężną. Chłopiec przeżywa najrozmaitsze, często dech w piersiach zapierające przygody — zostaje wreszcie czeladnikiem Wita Stwosza.

Młody czytelnik śledzący z niewątpliwym zainteresowaniem dzieje Wawrzusia zapoznaje się jednocześnie z życiem i obyczajami ówczesnej epoki, ociera się, chcąc nie chcąc, o jej najważniejsze wydarzenia historyczne. Jest to wielką wartością książki, że wprowadza czytelnika tak łatwo i prosto w epokę odległą o 400 lat. A nie polega to na pominięciu, czy wyeliminowaniu różnic, jakiejś aktualizacji, uwspółcześnieniu, odbarwiającym tę epokę. Nic podobnego. Autorka stara się wiernie odtworzyć ówczesne życie. Sięga w tym celu do źródeł historycznych i obyczajowych do tradycyj dochowanych do dziś na wsi zwyczajów, do dawnych pieśni i legend. To, że mimo wszystkie te fakty, książka nie zalatuje egzotyką, nie razi obcością odległych czasów, nie stwarza momentów niejasnych i niezrozumiałych, sprawia bliskość, żywa realność, przekonywująca szczerość postaci, począwszy od głównego bohatera Wawrzusia, skończywszy na mistrzu Wicie Stwoszu. Postacie te pozbawione są wszelkiego patosu posiadają prostotę ludzkiej codzienności. I właśnie ta prostota to chyba najistotniejszy czynnik, najcharakterystyczniejsze znamię powieści. Dominuje ona we wszystkim, i w postaciach i w sytuacjach i w środkach artystycznych. Nie oznacza to jednak jakiejś przeciętności, wyjałowienia z fantazji, czy polotu. Wawrzuś jest dzieckiem utalentowanym, szereg innych postaci, jak rodzina „wiłów", Czarny Rafał, mistrz Stwosz wyrastają niewątpliwie ponad przeciętność, akcja obfituje w sytuacje zgoła niebywałe i niezwykle emocjonujące, język „Żółtej ciżemki" wyraźnie archaizowany ma wiele poezji i wdzięku. Prostotę stanowi tu umiar artystyczny. Autorka nigdzie nie popełniła błędu przeciągnięcia struny, ani w partiach najbardziej lirycznych tęsknot małego Wawrzusia za Porębą i matusią, ani w momentach grozy i tajemniczości, ani w chwilach szczytnego napięcia, które nierzadko w literaturze dziecięcej przechodzi w fałszywy patos.

Gdy oto np.: ma już opaść zasłona kryjąca jedno z najwspanialszych i najpotężniejszych dzieł ludzkiego artyzmu. Ołtarz N. P. M. w Kościele Mariackim w Krakowie, gdy tłum zebranych oczekuje tej chwili z niecierpliwością i napięciem, gdy nastrój ten zaczyna się udzielać czytelnikowi autorka każe nagle mistrzowi Stwoszowi oglądać się za Wawrzusiem. Moment przecięcia sznurów poprzedzony jest kilkoma zwykłymi technicznymi wskazówkami, rzuconymi przez Stwosza czeladnikom. I to wystarczy, aby chwila, w której już niemal grozi owa patetyczna egzaltacja, przerodziła się we wzruszającą prawdę wielkiego przeżycia.

Zagadnienie umiaru artystycznego to sprawa bardzo istotna w literaturze w ogóle, ale w literaturze dziecięcej, tym ważniejsza, że związana z problemami wychowawczymi i psychiką młodocianego odbiorcy.

Eug. Kobylińska — Jak klasa I-B odkryła nowy ląd, wyd. Księgarni św. Wojciecha, ilustr. i okł. E. Kuczyńskiego, str. 287. — Poznań, 1948.

Książka ta niewątpliwie nie jest żadną rewelacją w literaturze dla dzieci i młodzieży. W stylu, humorze i komizmie sytuacji często narzucają się zbyt wyraźne analogie z Makuszyńskim czy Korczakiem, momenty pedagogiczne nie są również zbyt oryginalne, a jednak mimo to czyta się książkę z przyjemnością i od czasu do czasu śmieje się serdecznie.

Jest to tak zwana powieść z życia szkolnego, typ książki, który ma wśród dzieci zapewnione powodzenie. Jest to coś bliskiego i można tam znaleźć często siebie samego, kolegów i nauczycieli, a to jest ciekawe. Moment małej sensacji, zaprawionej nieco atmosferą plotki. Jeżeli dziecko nie znajduje się w krytycznym okresie dojrzewania, jeżeli nie przeżywa jeszcze owego wewnętrznego fermentu, lub przekroczyło już szczęśliwie Rubikon, znajdzie w lekturze tej wiele zadowolenia i przyjemności, w przeciwnym razie odrzuci ją zniecierpliwione. Darmo tu bowiem szukać pożywki romantycznej, czaru poezji, czy wielkiego artyzmu. Jest niewątpliwie idealizm, jest szukanie i docieranie do tego co stanowi istotną wartość — miłość bliźniego, ale właśnie te partie książki są słabe dużo słabsze od tych, będących po prostu scenami z życia szkoły i grupy pełnych temperamentu chłopców, scenami bez żadnego innego podkładu i ciężaru gatunkowego. Tym niemniej wielką zasługą autorki jest trzymanie czytelnika do ostatniego momentu w napięciu oczekiwania na rozwiązania niezwykłych projektów sympatycznej klasy, ich stopniowej przemiany, zastąpienia celu fantastycznego i odległego, bliższym i bardziej istotnym społecznie, rezygnacji z wyczynu heroicznego na korzyść bardziej realnego i pozytywnego.

W sumie: jest to książka średniej wprawdzie wartości literackiej, odznaczająca się jednakże ważnymi i istotnymi momentami pedagogicznymi, miłą pogodną na ogół atmosferą. Kupując prezenty na święta, warto tę pozycję wziąć pod uwagę.

Jan Brzechwa — Szelmostwa Lisa Witalisa, ilustr. J. M. Szancera, wyd. E. Kuthana, 1948, str. 44.

Istotną wartość tej książki, wyjątkowo efektownie wydanej, znajdujemy raczej w ilustracjach Szancera niż tekście Brzechwy. Tak twierdzą dzieci, którym aż oczy wyskakują do barwnych obrazków, a które wierszowana satyra nieco niecierpliwi, tak sądzą również rodzice, których nuży zbytnia naiwność i brak oryginalności Lisa Witalisa. Wspominają „Kaczkę Dziwaczkę" i wzdychają. Tamto było doskonałe! Rzeczywiście. Ale chyba wyłącznie dla dorosłych. Z dziećmi jest w ogóle kłopot pod tym względem. Dzieci, zdaje się, nie bardzo lubią satyry. Ich poczucie humoru jest specyficzne. Jak ma być bajka to bajka, jak prawda to prawda. Wszystko musi być na serio i rzetelnie. Takie „coś" na pograniczu jednego i drugiego to sprawa trudna i wcale niekomiczna. Dziecko śmieje się częściej wówczas przez grzeczność, niż z przekonania. Czuje się znużone, buntuje się, zaczyna prostować zdaniem jego rażące nieścisłości i ostatecznie jest w całym tym chaosie zagubione.

Bo skąd np.: placki ze śniegu? — Najgłupsze z najgłupszych zwierząt w to by nie uwierzyło. Dziecko jest zdumiewającym empirykiem. Żadna najoczywistsza nawet prawda nie ma doń dostępu, dopóki nie zostanie poparta przez doświadczenie, ale z chwilą, gdy już raz czegoś doświadczyło, trudno mu jest przyjąć, nawet w najbujniejszej fantazji, że ktokolwiek mógłby sądzić inaczej. Jest to prawo t. zw. egocentryzmu dziecięcego i autor, piszący dla dzieci musi się z tym liczyć, jeżeli mu rzeczywiście zależy na dziecięcym odbiorcy.

Poza tym jest drugi moment istotny. Każdy pedagog zadaje sobie wiele trudu, aby wyrobić w dziecku poczucie sprawiedliwości. Kto nabroi, narobi zamieszania, musi ponieść za służoną karę. Lis Witalis kary nie ponosi, ucieka przed nią. Dziecko jest zawiedzione i czeka dalszego ciągu: „Oni muszą tego lisa złapać". Pedagog ma również żal do autora— nie ma się czego chwycić, całość utworu przepływa mu między palcami. Nie będzie mógł powiedzieć z akcentem przestrogi: „A pamiętasz, jak to było z lisem Witalisem", bo właściwie nic nie było. Naknocił, nachytrzył i cało wyszedł. Coś tu nie klapuje. Dziecko nie może i nie powinno przyjąć takiej koncepcji świata, w której chytrość przynosząca szkodę i krzywdę nie ponosi zasłużonej kary. Pedagog przyjąłby to ostatecznie, zużył trochę wysiłku, aby te sprawy wytłumaczyć dziecku, gdyby mógł braki owej lektury okupić prawdziwymi wartościami literackimi, a w Lisie Witalisie okupuje jedynie efektownymi ilustracjami. Jak na pozycję literatury dziecięcej nieco za mało.

W. Żur.

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZJAZD SZCZECIŃSKI

PRZEWIDYWANY na listopad ogólnokrajowy zjazd delegatów Zw. Zawodowego Literatów, odbędzie się dopiero 20 stycznia 1949 r. w Szczecinie. Mniejsza o powód odroczenia.

Istotniejsze jest pytanie postawione rok temu przez Sokorskiego: dlaczego tak trudno rodzi się nowa literatura?

W odpowiedzi Brzechwa powie o kłopotach mieszkaniowych. Będzie miał rację. Na tym odcinku nie wiele się poprawiło. Skończyła swój krótki żywot Spółdzielnia Mieszkaniowa Literatów. Grabarzem był pewien pan, który zza majestatu dyrektorskiego biurka stwierdził, iż wszyscy wielcy pisarze przeszłości zostali wielkimi także, dzięki... nędzy. Wszystko przemawiać będzie za argumentacją Brzechwy, ale racje jego, nie będą zupełne. Pytanie Sokorskiego czeka na inną odpowiedź.

JUBILEUSZ LEOPOLDA STAFFA

W związku z przypadającym w dn. 19 grudnia 70-leciem urodzin i 50-leciem pracy literackiej znakomitego poety Leopolda Staffa, wyłoniony przez Zw. Zaw. Literatów ogólnokrajowy Komitet Jubileuszowy z Julianem Tuwimem na czele czyni ostatnie przygotowania do obchodu.

Staraniem Komitetu wydana zostanie Księga Pamiątkowa ku czci Staffa, w której znajdą się prace większości pisarzy polskich.

Program uroczystości przewiduje nadanie znakomitemu poecie doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza" ukaże się wybór poezji Staffa.

Wszystkie instytucje wydawnicze przygotowują zbiorowo dar honorowy dla Jubilata.

W Warszawie odbędzie się w Państw. Teatrze Polskim uroczysty wieczór twórczości Staffa

***

Według ostatnich doniesień:

1. w związku z zamiarem Staffa przeniesienia się na stałe do stolicy, Komitet czyni starania o uzyskanie dla poety odpowiedniego mieszkania.

Drugą uchwałą, jaką przyjęto również z radością na nadzwyczajnym posiedzeniu Związkowej Spółdzielni Mieszkaniowej w Krakowie, było postanowienie przydzielenia pierwszego mieszkaniu w Osiedlu ZSM znakomitemu poecie Leopoldowi Staffowi, znajdującemu się w ciężkich warunkach mieszkaniowych.

Leopold Staff dwu mieszkań niepotrzebuje. Natomiast fakt jest faktem: przez trzy lata nikt o tym nie pomyślał.

PROF. SINKO LAUREATEM

KRAKÓW uczcił wybitną działalność naukową znakomitego filologa prof. Tadeusza Sinki przyznaniem mu nagrody naukowej za rok 1947. Nagroda przyznana została za II tom dzieła p. t. „Literatura grecka".

NAGRODA PLASTYCZNA WARSZAWY

NAGRODĘ plastyczną Warszawy za rok 1948 (120.000 zł) przyznano inż. Zygmuntowi Stempińskiemu. Twórczość architektoniczna laureata legitymuje się ostatnio odbudową Nowego Światu, projektem odbudowy Krakowskiego Przedmieścia i budową domów robotniczych na Mariensztacie.

Inż. Stempiński w pracach nad odbudową Warszawy uwzględnia obok wskazań współczesnej estetyki urbanistycznej, wartości zabytkowe odbudowywanych budynków czy ulic.

Obecnie inż. Stempiński pracuje nad planami odbudowy Starówki. Projekty wykazują dużą troskę o podkreślenie stylu i ducha starej Warszawy.

GODNA POCHWAŁY AKCJA CZZG

PODJĘTA przez Centralny Związek Zawodowy Górników akcja opieki nad amatorami - plastykami spośród górników daje pozytywne rezultaty. W pierwszym etapie tej akcji CZZG zaopiekował się 50 plastykami - amatorami. Prace ich znalazły się na wystawie w Sosnowcu. Obecnie liczba plastyków - amatorów, zarejestrowanych przy CZZG, wzrosła do stu.

Również referat twórczości amatorskiej i artystycznej, przy Centralnym Ośrodku Kulturalno - Oświatowym w Sosnowcu zorganizował w ciągu listopada 5 ośrodków szkoleniowych dla amatorów - plastyków. Powstały one w większych skupiskach artystów - amatorów, a mianowicie: w Rudzie Śląskiej, W Siemianowicach, w Rybniku, w Jaworznie i w Wałbrzychu. Akcja szkoleniowa obejmuje 150 górników. Koszty tej akcji pokryje Centralny Związek Zawodowy Górników.

KOTLARCZYK ZWYCIĘŻA

Z inicjatywy Miejskiego Referatu Kultury i Sztuki powstał w Zakopanem zespół rapsodyczny, który rozpoczął już pierwsze próby.

Nowy teatr zainauguruje swoją działalność wystawieniem poematu Stanisława Nędzy-Kubinca pt. „Janosik".

Kotlarczyk znajduje coraz więcej naśladowców.

Mają swój zespół rapsodyczny również Katowice.

Zwycięstwo pięknej myśli twórcy placówki krakowskiej przychodzi powoli i z trudem. I dziwić się temu nie należy. Koncepcja rozpowszechnienia zespołów rapsodycznych będzie tak długo walczyła z trudnościami, jak długo nie znajdzie między możnymi swego mecenasa. A zespół rapsodyczny to naprawdę najwłaściwsza forma pracy zespołów świetlicowych.

WITOLD LUTOSŁAWSKI — LAUREATEM NAGRODY MUZYCZNEJ M. ST. WARSZAWY

W dniu 9 bm. odbyło się posiedzenie jury nagrody muzycznej m. st. Warszawy.

W skład jury wchodzili: przewodniczący Komisji Kultury Stoł. Rady Miejskiej H. Smuga-Ładosz (jako przewodniczący Sądu Konkursowego), dr Z. Lissa z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, nacz. Z. Dworakowski — z ramienia Prezydium Rady Narodowej, Z. Mycielski (Zw. Kompozytorów Polskich), W. Wroński (Zw. Zawod. Muzyków) i M. Roerichowa — przedstawicielka Wydz. Kultury i Sztuki Zarządu m. st. Warszawy.

Kandydatami do nagrody byli: rektor S. Kazuro, G. Bacewiczówna i W. Lutosławski.

W wyniku drugiego głosowania nagrodę muzyczną m. st. Warszawy w wysokości 120 tys. zł przyznano jednogłośnie Witoldowi Lutosławskiemu.

Laureat, autor szeregu wybitnych utworów symfonicznych, rozwijał ostatnio b. ożywioną działalność muzyczną, nastawioną na masowego odbiorcę, przeznaczoną dla nowego słuchacza. Ujawniał szeroką skalę zainteresowań muzycznych, tworząc ilustracje muzyczne do sztuk teatralnych, utworów dla dzieci i do filmów (m. in. Suity Warszawskiej).

Z utworów symfonicznych Lutosławskiego ukazały się nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego — jego „Wariacje Symfoniczne"

SPROSTOWANIE

W nr 47 (156) z dnia 21 listopada 1948 r. w artykule K. W. Zawodzińskiego p. t. „O stopach wiersza miarowego", wkradły się następujące błędy zecerskie: Szpalta 2, wiersz 16-ty od góry zamiast: „jambiczne" Ss — ma być — „jambiczne" sS. Szpalta 4, wiersz 4 od dołu zamiast: każdemu 2-letniemu dziecku — ma być — każdemu 12-letniemu dziecku.

„KAZIMIERZ WIELKI"

Zdzisław Kaczmarczyk „Kazimierz Wielki", Wyd. S. Arcta, Warszawa, 1948, str. 396.

Niezwykle istotnym dla wychowania społeczeństwa jest zagadnienie upowszechnienia znajomości historii, a że popularyzacja taka najprościej osiągalną jest przez zaznajamianie z postaciami historycznymi — więc też wszelkiego rodzaju naukowe oraz literackie monografie działaczy politycznych, kulturalnych, społecznych mają swą specjalną i wielką wagę. Sądzę, że pokaźna liczba osób swe wiadomości historyczne — tak z historii powszechnej, jak krajowej — zawdzięcza owym wies romances, które od kilkunastu lat są tak bardzo modnym gatunkiem literackim. Dlatego dobrze się stało, że „Państwowy Instytut Wydawniczy" rozpoczął wydawnictwa serii „Życiorysów sławnych Polaków", w aspekcie mniej naukowym, bardziej literackim, beletrystycznym, — sądzę, iż już niedługo wypadnie nam wydawać opinię o pierwszych tomach tego cyklu. Czym bardziej monografia o wielkim człowieku jest zbeletryzowana — tym większy zakres jej czytelników i większy skutek oświatowy. Podobnie beletrystyczne życiorysy wymagają jednak pewnego fundamentu, nie powstają z niczego. Między nimi, a archiwami naukowymi i historycznymi istnieć musi jeszcze jedno ogniwo pośrednie. Solidna monografia naukowa która pisarzowi - beletryście uprzystępni postać, jej życie i dzieła. Sam pisarz rzadko kiedy może rzetelnie, z eliminacją fałszów, przeprowadzić badanie nuakowe, a ono dopiero stać się może podstawą powieści. Pod tym względem jesteśmy niezwykle zapóźnieni. Iluż naszych wielkich mężów tak polityki, jak kultury po dziś dzień bezskutecznie oczekuje na swego rzetelnego monografistę naukowego? Litania byłaby niechlubnie długa. A przecież historia nasza pełna jest postaci pasjonujących!

Ostatnio czterech polskich mężów stanu znalazło swych monografistów Margrabia Wielopolski — Adama Skałkowskiego, Zygmunt Stary — Zygmunta Wojciechowskiego, Bolesław Krzywousty — Karola Meleczyńskiego, oraz Kazimierz Wielki — Zdzisława Kaczmarczyka, profesora Uniwersytetu Poznańskiego.

Zdzisław Kaczmarczyk nie pierwszą już pracę poświęcił Kazimierzowi Wielkiemu i jego czasom. Ma on już za sobą dwutomowe, obszerne dzieło, gruntownie analizujące politykę wewnętrzną i zagraniczną tego króla, który dał w historii naszego narodu początek całej epoce — jagiellońskiej gdyż nie kto inny, lecz on położył jej podwaliny. Po Chrobrym był on drugim królem — zwornikiem naszych dziejów. Królem, który zostawił po sobie pamięć tak wspaniałą i legendę tak „demokratyczną", jakiej nie posiada wśród Polaków żaden inny władca. Analiza dokładnie wyjaśnia i demaskuje, obala nawet, legendy, pozostawia jednak, jako wartość sprawdzoną, mądrość i talent polityczny tego króla.

Postać Kazimierza Wielkiego domaga się swego piewcy nie naukowego, lecz beletrystycznego. Kraszewski już nie wystarcza naszym gustom. Tom Kaczmarczyka — będący popularnym wykładem, syntetyzującym inne czysto naukowe, prace w sposób łatwo czytelny i niezwykle ciekawy. Zbliża się on do beletrystyki, ale nie przekracza jej granicy. Ustępuje to widać komuś innemu. A postać króla - chłopów, budowniczego Polski Murowanej, romansowego kawalera, przebiegłego polityka, który jednak utracił Śląsk, aż prosi się o taką powieść. Temu, kto się tego podejmie — książka Kaczmarczyka będzie przewodnikiem rzetelnym. Ale nim się ktoś na takie pisanie zdobędzie — sądzę, że „Kazimierz Wielki", w tym popularno - naukowym wydaniu, zasłużył sobie na grono pilnych czytelników. To jest dobra i ciekawa książka.

Kazimierz Koźniewski

FILM

Powieści Dickensa były wielokrotnie przenoszone na ekran. Wielkie Nadzieje są na pewno najdoskonalszą, najpełniejszą transpozycją filmową. Dawid Copperfield, Nicholas Nickleby dla miłośników Dickensa były rozczarowaniem. W filmach tych położono nacisk na możliwie pełne odtworzenie akcji, zmieszczenie wszystkich jej wątków, na oprawę stylową. Uwaga widza została rozproszona, powieści Dickensa pozbawione wszystkich elementów wzruszających czytelnika. Pisałam o tym w recenzji o Nicholasie Nickleby, że właściwie, tak sfilmowana powieść Dickensa stała się jakimś dokumentem historycznym przyciągającym przez piękną stylizację epoki, urok historycznej interpretacji, ale jednak pozbawiona została ciepła, zawartości uczuciowej i aktualności.

Już scenariusz Wielkich Nadziei wykazuje różnicę ujęcia różnicę stosunku do tekstu literackiego. Najogólniej określając skrót dokonany jest w ten sposób, że wybiera wątek główny i selekcjonuje materiał tak, żeby dostosować odpowiednio tempo akcji do dwugodzinnego seansu, żeby przedstawione zdarzenia nie przeładowywały konstrukcji dramatycznej. Film jest tak zmontowany, że w istocie każdy obraz jest cząsteczką ekspresji, że można mówić o funkcji obrazu analogicznej do funkcji słowa w literaturze. Trzeba podkreślić, że środki użytej ekspresji bogate bardzo, operujące kontrastem, paralelizmem symboliką, przyśpieszeniem i zwalnianiem tempa, wymową szczegółów i uogólnień są organicznie związane i podporządkowane wizji artystycznej.

Film jest pozbawiony efekciarstwa, robi wrażenie kompozycji oszczędnej i prostej. Wystarczy przypomnieć kompozycję pierwszych scen, funkcjonalne powiązanie szczegółów krajobrazu, ekspresję następujących po sobie obrazów, symbolikę drogi i cmentarza, wreszcie zaskoczenie, które przeżywa nawet przygotowany lekturą Wielkich Nadziei widz, kiedy Pipa chwyta jego przyszły dobroczyńca; dalej epizody wyrzutów sumienia chłopca (za Dickensem wyobrażone przez przeniesienie wrażeń dziecka na przedmioty martwe i zwierzęta).

Ów moment zaskoczenia w chwili napadu Magwitcha jest skomponowany w zasadzie prosto. Poprzedzające obrazy mają konsekwentnie stopniowany i doprowadzony do dużego napięcia ładunek uczuciowy. Obrazy są powiązane ze sobą logicznie, to co można by nazwać tokiem narracji filmowej nabiera pewnej regularności. Działanie krajobrazu bagnisk, symboliki drzew, szubienic, przedostanie się wreszcie Pipa na cmentarz, ustala napięcie, nastrój widza. I oto napad na Pipa jakby przerzuca z jednego silnego już uczucia w drugie. Efekt zaskoczenia jest przez to wzmocniony. Naturalnie wrażenia konstytuuje nie tylko montaż ale także fotografia, światło, gra wykonawców, muzyka itp. Wydaje się jednak, że to co sprawia, iż Wielkie Nadzieje są dziełem sztuki filmowej leży głównie w doskonałym montażu i reżyserii. Do wystąpienia Magwitcha siła ekspresji spoczywa prawie wyłącznie w przedmiotach, a trzeba pamiętać, że ekspresywność człowieka operuje słowem mimika gestem podczas gdy przedmioty martwe muszą się same tłumaczyć i całkowicie wyrażać.

Wizualną wymowę przedmiotów wzmacniają efekty dźwiękowe doskonale przekonywujące: szelest liści i zgrzyt ocierających się o siebie gałęzi.

Mistrzostwo reżyserii leży, wydaje się, w stosunku do scenariusza. W przemyślaniu, przeniesieniu zawartości tekstu na to co można by nazwać realnością filmową. Na stworzeniu wizji filmowej, dla której zdarzenia zawarte w tekście są materiałem wyrażanym przez reżysera specyficznym stylem filmu.

Dobór wykonawców jest trafny. Szkoda że doskonała Jean Simmons zastępuje w dalszych partiach Waleria Hobson, którą od reszty zespołu odróżnia teatralna maniera gry. Gra reszty wykonawców jest prosta, oszczędna i wyrównana; widać rękę reżysera, który potrafił stworzyć zespół, a nie oddzielił, nie oparł się na pojedynczej kreacji aktorskiej. Reżyser Nicholasa Nickleby wyrysował typy, przejaskrawił cechy, nie potrafił dać szczegółów, które sprawiają, że osoby dramatu stają się ludzkie, prawdziwe bliskie. Wykonawcy wszystkich ról Wielkich Nadziei miniaturowymi, niewyjaskrawionymi szczegółami ekspresji budują charaktery. Jakże daleka od typu patetycznej warjatki jest Martita Hunt w roli miss Havisham. Operuje ona drobnymi gestami ręki, pochyleniami głowy, intonacją cichego głosu i jakże jest przez to sugestywna. Jej szaleństwo jest pastelowe. Dopełniają i uzupełniają jej grę przedmioty martwe, otoczenie, wizje zamku.

Jak bardzo ludzki i wzruszający jest może najbardziej patetyczny w swojej prostej godności i dobroci kowal — szwagier Pipa w interpretacji Bernarda Milesa.

Dobre filmy powinny być specjalnie starannie opracowywane. Stworzenie tekstów polskich jest skomplikowanym problemem. Minął już okres kiedy wymagaliśmy jedynie poprawności polskich napisów. W tej chwili należy zwrócić uwagę na szczegóły. Należy pamiętać, że widz czytający tekst traci zawsze wymowę intonacji, a bardzo często wymowę mimiki. Tekst powinien wypełnić tę lukę, szczególnie tam gdzie zachodzi obawa dwuznaczności. Gdy w Wielkich Nadziejach miss Havisham mówi do Estelli patrząc na Pipa: „Możesz mu złamać serce" widz czytający napis przyjmuje te słowa jako ostrzeżenie nie chwyta w tym bodźca, wskazówki dla Estelli. Wielu ludziom wydawało się niejasne późniejsze postępowanie Estelli; powiązanie jej programu życiowego z szaleńczą koncepcją opiekunki.

Żeby w pełni wykorzystać znaczenie najlepszych filmów, które wyświetlamy na naszych ekranach trzeba pokierować uwagą widza, przygotować go do zrozumienia filmu. Duże znaczenie ma recenzja, która powinna nie tylko wydać jasną opinię, zanalizować wartości i błędy obrazu ale także szczególnie w wypadku filmowania powieści podać niezbędną sumę informacji o sfilmowanym dziele. Trzeba by także zużytkować programy. Zamiast niepotrzebnego streszczenia, albo bezmyślnej reklamowej pochwały należałoby podać informacje, które przygotują widza pokierują jego sądem i uwagą. Wiemy że gust publiczności trzeba wykształcić. Można to zrobić między innymi przez konsekwentną naukę patrzenia na film.

Leszcz

Nowość Nowość

EWANGELIE i DZIEJE APOSTOLSKIE

przekład i komentarz

Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego

Cena zł. 250

Albertinum

Warszawa — Poznań — Lublin

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

30

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem"

Chciał mieć dookoła spokój sumień, aby nikt nie mógł przeszkadzać jego woli, jego dyrektywie. Brał ich wszystkich na swoje sumienie, lecz ich nie liczył, nie rozpatrywał ich sumień. Ich sumieniem miała być wiara w niego, w Konrada Toena. Tym narzędziem chciał mierzyć ludzką uczciwość — to było, aby byli nieugięci, aby nie kradli, aby nie zdradzali. I z tego punktu widzenia lepiej także, żeby nie mieli własnego sumienia, tylko jedno sumienie: sumienie wodza. Powinno im wystarczać. Nie powinni mieć własnych skrupułów, własnych impulsów. Tylko nie za dużo samodzielności. Wpatrzony w sitowie, lekko się kołyszące nad spokojną czarną wodą, rozmyślał — zagadnienie tak wygląda: panować, ujarzmiać, kierować. Wierzył, że jest do tego zdolny; przeraźliwa wiara, pełna uroszczeń. Przyszło mu na pamięć zdanie, które gdzieś przeczytał niedawno: „gdybym chciał świadomie zrobić źle, nie miałbym wyrzutów sumienia. Wyrzuty sumienia powstają, gdy chodzi o przypadek, o przypadek, przekreślający idiotycznie nasze plany". A socjologia tłumu?

Cieszył się, że Magdalena milczy jakby była własnym swoim portretem. Nawet Kama tego nie potrafiła w takim stopniu. O, Kama miała intuicję i wiedziała, czym można zdobyć mężczyznę takiego jak Konrad. Milczała, kiedy tego pragnął. Delikatnie palcem gładziła mu włosy. Była jak cień, żyjący z jego postaci. Ale przeholowała, przyszedł taki moment, że osądziła, że Konrad jest całkowicie w jej sieci. I wtedy zdjęła sandały niewolnicy, spróbowała jaki jest zakres jej władzy. Był zdumiony tym zuchwalstwem, tą uzurpacją despotyczną: chciała mu narzucać swoje prawo. Nie umiała tego zrobić, było to bez wdzięku, odrobina mieszczaństwa i styl en figure du coin de la rue. Może za surowo? Niestety, potrzeba być surowym, nie pozwalać sobie na najmniejszą litość, na najmniejszy kompromis uczuciowy. Inaczej Dalila obcina Samsonowi włosy... Popatrzał w stronę Magdaleny, leżała z przymkniętymi oczami, z twarzą w cieniu — bladą i kamienną.

— Magdaleno.

Nie uniosła powiek, nie odezwała się, skinęła tylko ręką. Podparł się na łokciu, przypatrywał się z uwagą liściom paproci: były doskonałe w rzeźbie, w mahometańskiej staranności plastycznej, jednak nie w materiale. Pordzewiałe, okryte nalotem czerwonawej rdzy, skażone — „i na tym mają kwitnąć czarodziejskie kwiaty" — pomyślał z szyderstwem.

— Z twojej strony — powiedział — stale mnie gonią jakieś wyrzuty, zarzuty, moralizujesz.

Nie, nie chciała odpowiadać. Jeżeli mówił żartobliwie — z jego tonu nigdy nie można było poznać, co jest naprawdę, na serio. zawsze ten sam grymas powagi, oczy nie zdradzające nic prócz chłodnego okrucieństwa, pozbawione akcentu życzliwości, bezinteresowności ludzkiej i zwyczajnej. Jeżeli mówił na serio, tym gorzej dla niego, że nie mógł zrozumieć jak bardzo jej, Magdalenie, zależy na jego prawdziwym zwycięstwie. Nie na wymuszeniu, nie na podboju poprzez oszołomienie, poprzez chorobę, poprzez sztuki magiczne. Nigdy, nigdy nie mogłaby się zgodzić, że Konrad jest tylko alchemikiem, czarnoksiężnikiem. Naprawdę chciała wierzyć w jego powołanie. I wtedy, nieoczekiwanie, rzucił to pytanie:

— Człowiek... w co wierzyć chciałabyś w człowieku?

Odrzuciła bez namysłu:

— W jego nieprzeciętność.

— Nieprzeciętność, triumf — powtórzył powoli, po kilkakroć, to są właściwie tylko środki, w żadnym wypadku nie cele... Co jest dla mężczyzny triumfem — zastanowił się — chyba w historii da się to zrobić: rzucić cień własnego triumfu w historię. Myślę, że rozumieć artystów. Żaden poeta nie pisze z myślą o człowieku wiecznym. tylko o współczesnym. A jednak, jeżeli żyją Homer i Szekspir, żyją przez wieczność, przez historię, jak Cezar i Napoleon. A inni, nawet Wolter, nawet Chateaubriand — patrzymy na nich przez pół znudzeni, przez pół rozbawieni ich minami, ich gestykulacją. O innych, choć byli kochani przez kobiety jak Azzolino, choć byli bogaci jak mieszczanie flamandzcy, nie myślimy wcale. Przeżyli swoje kilkadziesiąt lat bytowania, znikli.

— Tak mało wierzysz w miłość?

— To bardzo naiwne, to twoje pytanie. Daleno. Co ci odpowiedzieć? Że nie wierzę? To nieprawda. Nie wiem, czy wierzę, nie umiem tego wyrazić. Jest bardzo zasadniczej wagi, ale nie można określić w słowach tej wagi. Gdy się jest bardzo zmęczonym, dobrze oprzeć o coś głowę. O ręce, o kolana... Zamknąć oczy, nie myśleć, tylko istnieć przez uczucie. Nie przez pamięć. Uczucie to jest szczególny rodzaj poznania. Daje poznanie teraźniejszości, niczego innego. Schodzi się wgłąb, głęboko w głąb — to jest chyba tak. I sprawia, że człowiek jest niemy.

— A poezja?

— Poezja — powtórzył wzgarliwie. — To nie jest szczere, poza. Milczenie jest szczere.

Ale w ten sposób nie można się porozumieć.

— Na upartego? Zresztą, nie w każdej chwili koniecznie się trzeba porozumiewać. Najważniejsze jednak, zrozumieć siebie. Być niezależnym.

— Egoizm, mój drogi.

Chwilę nie odpowiadał jakby ważył ten zarzut.

— Jak uważasz. Teraz będzie wielka kąpiel wojny. Nie wiadomo, jak z tego wyjdziemy.

Przelękła się, że Konrad zginie. Złapała się na chęci dotknięcia go, pogładzenia po ramieniu — jakiś bezbronny gest nadziei, gest modlitwy. Wiedziała, że musi znaleźć się w tej próbie — i że nie lubi tych form zewnętrznych, którymi zdradzą się bezsilne pragnienie. Nie można wyrzec się pragnień, pamiętała tę jego naukę, nie należy się do nich przyznawać.

— Czy nigdy?

— Bezmała — nigdy.

— Więc jednak zostawiasz małe furtki?

— Ludziom tego potrzeba, furtek. Mnie — nie. Ja mogę być surowy bez granic.

— Nie chcę ciebie takim.

— Zastanów się więc. Nie będę inny.

Myślał bez entuzjazmu o wojnie. Była dla niego zupełnie pozbawiona romantyczności. Na szczęście, c'est du romantisme — to miało w jego oczach zawsze złe znaczenie. Entuzjazm, enfaza — oparte były w rozumieniu Konrada o mieszaninę fałszu i naiwności, w nieustalonej proporcji. Wojna: przepocona bielizna, skwar, pragnienie w ustach, nasycane byle czym — wodą ze studni, wiśniami, mlekiem. Zapach benzyny i smarów, miał przydział do czołgów, to była przyjacielska usługa Kosińskiego. Buława marszałkowska — no, nie, śmieszne. Porucznik Konrad Kunowski: co za odnowienie. To tylko jedno, odnowienie — i zebranie sił do nowego skoku. Pamiętał z ćwiczeń, jeszcze jako podchorąży — tyraliera piechoty, w skwarze sierpniowym wkręcająca się w rżyska, w pola kartoflane i markowany ogień zaporowy artylerii. Grupa czołgów na skraju w oczekiwaniu: potem telefon i jazda po wąskiej grobli. Bez sensu, każda zabawa, każda gra na niby wydawała mu się teraz bez sensu. Bez marzenia, bez wyobraźni, realizm, realizm.

Powstał, podniósł Magdalenę z ziemi, musnął jej skroń wargami: były ciepłe i suche jakby za długo wystawione na wysuszające działanie słońca. Przeszli brzegiem parku, za żywopłotem było pole koniczyny. Wozy snuły się po polu, pęki koniczyny szły na widłach w górę na wóz. Krystyna stała przy koniach, z lejcami w rękach, z batem pod pachą. Była w białej bluzce i w jasnych spodniach, śmiała się głośno, nie widziała ich.

— Ta kobieta ma radość życia — powiedziała Magdalena.

— Ah, ona cała jest jak okrzyk. Ale nie wystarczy przecież krzyczeć. Biedny Ksawery.

— Ona jest biedniejsza.

— Może — zgodził się bardzo łatwo.

A jednak, Krystyna wspominała później z przyjemnością pobyt w Zarmolińcach, może właśnie ze względu na tę swobodę, jaką sobie od razu w pierwszy dzień stworzyła. Bała się, że będzie trochę sztywno. Podwieczorek — bez Magdaleny i bez Konrada — minął dość nudno i oficjalnie. „Sami starzy".

10.

Ani Krystyna, ani Ksawery nie mieli ochoty jechać do Włuk. Krystynę trzymały w mieście kursy sanitarne i starania, aby się dostać do czołówki. Ksawery był bardzo niezadowolony z tych projektów i z trudem zgodził się na sam pomysł odbycia kursu sanitarnego; projekt udziału w czołówce traktował ze sarkazmem, przekraczającym swoje własne miary. Czasami przychodziło mu na myśl, że może jest niesprawiedliwy wobec Krystyny i że zapewne jej pobudki nie dałyby się zmieścić li tylko w rzekomym głodzie sensacji, w głodzie rozrywek, graniczących z perwersją i brawurą. Tonem odrobinę nieszczerym, jak skąpiec zalecający rozrzutność, starał się wykazać Krystynie niestosowność i nierealność jej projektów. Irytowało ją niezmiernie, gdy kładł nacisk, że nią, Krystyną, kieruje kobieca brawura, natomiast służba w czołówce wymaga specjalnego nastawienia, stylu poświęcenia, czegoś, co się skoncentrowało we wzorach Edith Cavell i Florence Nittinghale.

— Skąd możesz wiedzieć, jakie są w istocie moje pobudki.

Nie chciała mu tego powiedzieć, lecz jej zdaniem konflikt był dużo prostszy: chciał ją mieć wyłącznie dla siebie, w domu, obojętnie nawet w jakim usposobieniu, swarliwą czy zgodną, zakochaną czy obojętną. Chodziło mu tylko o zachowanie jej roli formalnej, roli żony i pani domu. Takie wyobrażenie małżeństwa piętnowała w duchu jako faryzeizm, obłudę i typowe mieszczaństwo. „Nic z ryzyka, nic z ryzyka nie ma w tym człowieku" — ubolewała przed sobą. „Posiadacz" — dodawała z mściwością. Była wewnętrznie gotowa zrobić mu naprawdę jakąś przykroć — za jego egoizm, za jego małomieszczańską duszę. Całe dnie spływały teraz na tej niekończącej się domowej dyskusji. Jeszcze oszczędzała jego ambicję, nie chciała mu okazać jak dalece dokładnie rozumie jego nastawienie, jego motywy. I trochę nawet gardziła sobą, że nie mówi mu prawdy, że toczy polemikę w płaszczyźnie tej fikcji, którą on narzucił, na tyle niezręcznie, że nie zdołał ukryć przed Krystyną całej fikcyjności problemu. W tych warunkach dyskusja musiała być jałowa, a wynik ten jeden, że Krystyna nadal robiła swoje, a Ksawery spacerował po mieszkaniu zrzędząc jak kwoka z brzegu nawołująca kaczęta, które odpływają na staw.

— Zastanowiłbyś się lepiej, co ty będziesz robił w czasie wojny. Czy naprawdę sobie wyobrażasz, że z twego punktu widzenia wystarczy ci gospodarować na wsi? W takim razie winszuję.

— Mam nadzieję, że mnie powołają — bąknął. — Zgłoszę się jako ochotnik.

— Więc ja to robię już teraz. I bardzo proszę, nie przeszkadzaj mi, ja w każdym razie w czasie wojny nie będę panią domu, która prowadzi rachunki i narzeka na zwyżkę cen na artykuły pierwszej potrzeby. Ah, prawda, — roześmiała się — nasza sytuacja byłaby inna. We Włukach zwyżka cen nie sprawi kłopotów właścicielom, jaka to dobra rzecz w czasie wojny, takie Włuki! Placówka obywatelska...

— Jesteś niesprawiedliwa.

— Gdyby nawet, to dlatego, że ty nie masz żadnych argumentów za sobą. Czy nie czujesz jak jesteś zawieszony w powietrzu, w niczym dosłownie? Każdy ma jakieś zadania teraz, wojsko, obrona przeciwlotnicza, bo ja wiem co. A twoja zaszczytna funkcja— przyglądać się i pilnować nienaruszalności stanu swego posiadania. Idzie wojna, kataklizm, czy jak wy, mężczyźni, to nazywaliście. Będą ginąć miliony młodych ludzi, kto wie za jak głupią sprawę, dla czyjej ambicji, na czyje skinienie. Ty się na to zgadzasz, w tobie nie ma moralnego protestu ani przeciw bezsensowności tej wojny, ani przeciw wrogowi, który ostatecznie będzie bił się z nami dla dwu powodów: bo nas nienawidzi i bo nami gardzi. To są jednak silne uczucia, nic im nie przeciwstawiasz. Stajesz za zamkniętym oknem i masz zamiar się przypatrywać. Winszuję!

Wieczorami chodziła do kina, do kawiarni i utarło się, że Ksawery jej nie towarzyszył. Jakieś przypadkowe grono, rzadziej Czelepiński, częściej Alex Mokacki. We dwoje z Alexem: jak zakochani po małych kinach na Pradze, na Woli, po małych kawiarenkach, wieczorami, na bocznicach Marszałkowskiej. Z łokciami, opartymi na kolanach, z pięścią pod brodą. z niepokojem w oczach, nieruchomych i wpatrzonych w Krystynę — wybuchała śmiechem, te wybuchy radości go drażniły, złościły. Rozmawiali właściwie tylko o nim, kiedyś to zauważył. „Tak, — powiedziała — nic dziwnego, pan mnie interesuje". Miał takie zabawne reakcje, ścisnął ją mocno za ręce. Nie raz wieczorami całymi godzinami włóczyli się po ulicach, nie rozmawiając ze sobą. Zastanawiał się do czego to doprowadzi. Przychodził czasem do nich obojga, ale jakby rzadziej. Unikał teraz Ksawerego, Ksawerego, o którym oboje mówili, że jest po prostu odludek i że żadnym sposobem nie da się go wyciągnąć z domu. Krystyna mówiła o tym tonem ubolewania jak o czymś, co jest przykre, lecz nieuniknione i dlatego nawet nie warte zbyt wielu słów.

W połowie sierpnia wyjechała na wieś na parę dni. Właściwie mieli pojechać oboje, ale wtedy, w tym czasie, przyjechał z Paryża Dewin i Ksawery chciał jeszcze zostać przez parę dni w Warszawie. Ksawery nieco się zastanawiał: obecność na wsi wydawała mu się nieodzowna teraz, gdy kończyły się żniwa (niemal cały lipiec nie było go we Włukach), z drugiej jednak strony dalszych parę dni różnicy nie mogło odegrać roli. I dlatego Krystyna pojechała sama.

Dewin zadzwonił któregoś dnia o późnym wieczorze; jak dawniej, w telefonie rozległ się jego dyszkant, pełen pośpiechu, jak gdyby się paliło. I cichy śmiech. „Wróciłem, jeszcze dzisiaj, zaraz zadzwonię..."

— Poczekaj, wyłączę radio. — Aparat był nastawiony na rozgłośnię we Wrocławiu. Cały pokój huczał od głosu niemieckiego speakera, namiętnego, zapalczywego, grożącego i drwiącego na przemian. Z jego słów szła nieustępliwa wrogość, wola wymuszenia, wola zmiażdżenia psychicznego. Z tą wrogością szło słowo polskie z niemieckich ust, od Wrocławia, od Wrocławia, który jeszcze w wojnie Fryderyka z Marią Teresą był przeciwko Prusom, spiskował z emisariuszami marszałka Neipperga. Propaganda. ta broń, którą trzecie Niemcy, Niemcy Fichtego i Kanta, rozwinęły, udoskonaliły jak precyzyjne narzędzie, trafiające ani o milimetr nie dalej, niż skierowane było myślą. Audycje, które miały paraliżować wolę oporu, miażdżyć, podgryzać. Opowieści dezerterów, drwiny, polska nędza — to wszystko rzucane w eter ze świadomością własnej siły, własnej potęgi. „Die Strasse frei den braunen Bataillonen!" — silny, miarowy krok obutych w ciężkie buty oddziałów, koncentracja artylerii, piechoty i wojsk pancernych nad granicą — to się rodziło w wyobraźni słuchacza. I powstawała w nim cisza, ta cisza wewnętrzna, która rodzi się na krótko przed wybuchem, przed walką. Bo

ostatecznie — to wszystko padało w Ksawerym, jak groch o ścianę, do tego stopnia, że nie wierzył w owo zmiażdżenie, które zapowiadał aparat radiowy. Wrocław starał się wykazać, że wszystko jest z góry daremne, z góry stracone, chore, skazane na zagładę. W Ksawerym było jedno: zobaczymy, będziemy się bili. Przypominały mu się fantastyczne filmy i powieści o przyszłej wojnie, o grozie zniszczenia, o wojnie, szybkiej, napoleońskiej. „Książę piechoty", film według Wells'a, to także: ludzie, okryci w skóry, sprowadzeni do instynktu, bijący się maczugami, walczący na dzidy. Eskadry lotnicze, przelatujące nad miastem w huku motorów, w ciemności, cały aparat grozy, dostarczony przez wyobraźnię, przez niedawny próbny alarm lotniczy: miasto, pogrążone w mroku, cisza oddechów, nerwowa ulga, że to jeszczen ie jest naprawdę. Zarazem, groteska ponura tego żartu, tak przecież żartów robić nie wolno. straszenie dzieci, cyganami, bandytami. Społeczeństwo powinno być bardziej dojrzałe — sądził Ksawery, — nie ulegać takim strachom, w ogóle nie powinno się straszyć społeczeństwa. Wojny — medytował — różnią się od siebie stylem strategii, narzędziami walki, ale czy tak znowu bardzo stylem okrucieństwa, stylem barbarzyństwa? Czy może być coś groźniejszego, niż było? Straszenie, wymysły! — odrzucał stanowczo. Nowa wojna rysowała mu się jako — właściwie — ciąg dalszy wojny 1914 — 1918, niezakończonej przecież, a przerwanej i odłożonej. Wszyscy wtedy byli tak zmęczeni, nawet zwycięzcom wydawało się, że nie warto mieć większej wygranej. Ktoś się wyraził, że współczesne wojny przegrywają wszyscy; nikt się tym nie przejmował. Ksawery nie mógł sobie tylko wyobrazić pierwszych dni wojny — jak to może wyglądać, tak w ujęciu na codzień, w wyglądzie ulicy, w trybie zajęć. Nie bał się wojny. Brakowało mu wyobraźni, ostatecznie, myślał, mamy wojsko. Rozpatrywał tę kwestię z Nestorowiczem i Zatopińskim. Pierwszy z nich stał na stanowisku, że wojaczka nie jest przeznaczona dla ludzi myślących. „Iść dobrowolnie do wojska?" — ależ to głupstwo. Ja wiem, dziś tak wszyscy mówią, bo sądzą, że tak należy mówić. Niewielu myśli, że tak należy postąpić. Co do mnie, nigdy w życiu nie byłem ogarnięty psychozą frontu. Radzę panom zmienić temat rozmowy".

— Chodzi o to tylko — ciągnął Artur, nie zważając jakby wcale na Nestorowicza— kiedy iść, czy zaraz w pierwszych dniach, czy trochę poczekać. Osobiście, sądzę, że parę tygodni należy odczekać, żeby się cokolwiek zorientować w chaosie, żeby iść ze świadomością, co może być dalej, nie w nastroju z Remarque'a, że się idzie do rzeźni...

— To wiadomo od początku, wojna jest wielkim morderstwem z absolucją od grzechu — wtrącił Nestorowicz. — Nie rozumiem jak można iść dobrowolnie na front. Najwyżej z przymusu...

— Zastanawiam się — powiedział Artur — że trzeba będzie wziąźć ze sobą jakąś książkę. Coś bardzo dobrego.

— Słowackiego...

— Ee, nie. Ekstrakt literatury, coś, co w czytaniu daje możliwie wszystkie smaki. Chyba biblię.

Piotr Dewin, nieszczęsny uciekinier paryski. On jeden miał ten obyczaj mówienia najważniejszych rzeczy przez telefon, toczenia najistotniejszych rozmów przez telefon — w lapidarnym skrócie, którego rozszerzeniem, wyjaśnieniem, powiększaniem bądź tylko komentarzem stawało się osobiste spotkanie. Mógłby się znajdować w galerii Proust'a. Bynajmniej nie dlatego, że tyle czasu pochłaniały mu w życiu kłopoty snobizmu, jak Orianie, jak nawet panu Legrandin. Ale dlatego, że dręczył go kłopot— jak być. Ten kłopot stawał się u Piotra zagadnieniem bardzo wewnętrznym, dawał mu na tle z Prousta udrękę tej natury, jaką znają bohaterowie Dostojewskiego. „Zgoda — pomyślał Ksawery w dyskusji z kimś trzecim, kogo nie było, a kto raz tylko, trochę przelotem, zrobił taką uwagę — on może w istocie jest tylko małym czartem, małym biesem". Jeden Nędza mógłby w sposób sensowny wytłumaczyć małość kalibru— warunkami socjalnymi dwudziestu lat po wojnie. Istniały naprawdę olbrzymie napięcia socjalne, ów dynamit, którego się używa do wybuchu rewolucji i pod wielkie niepokoje, pod wielkie charaktery Szatowa, Kiriłowa, Stawrogina. Ale te napięcia socjalne nie objawiały się w żadnej walce, po prostu istniały in potentia, spętane obrożą ustroju, policji, obozów koncentracyjnych. Tliło się tylko jak pożar torfowiska, zalanego wodą: pali się głęboko pod ziemią, tam, dokąd czarna woda się już nie wciska. Nieduży charakter — to po prostu mała amplituda wahań. Nieduży zakres zła, nieduży zakres czegokolwiek. Jeżeli wola jest kontrolowana przez refleksję, przez namysł, raz idący naprzód, to znowu ostrożnie się cofający. Bo duży charakter może się też objawiać niekoniecznie przez amplitudę wielkich odchyleń i przez konsekwencję dążenia, przez szaleństwo uporu, jak ostatecznie było w wypadku Konrada. Ksawery zastanowił się, że, o ile chodzi o Konrada, mówić o jego charakterz jest jeszcze zawcześnie. Należałoby poczekać — na co? — nie wiedział. Na wyniki? — jakie to głupie słowo. Człowiek jest sobą zawsze, to znaczy z góry można powiedzieć czy jest twórczy czy improduktywnyn. Ale, jeśli już jest twórczy, nie należy go pośpieszać, ponaglać, aby miał te przeklęte śmieszne wyniki. Gdy będzie potrzeba, zjawią się przez jedną noc.

— Przyjechałem — oświadczył Dewin — żeby w czasie wojny nie być tam, rozumiesz? Trzeba się pozwolić zmobilizować — roześmiał się cicho. (C. D. N.)

LIST Z POZNANIA 3)

Ważnym wydarzeniem kulturalnym jest inauguracja nowego sezonu Opery państwowej w Poznaniu. Wybór dyrektora Górzyńskiego padł na „Goplanę" Żeleńskiego. Sam fakt rozpoczęcia muzyką polską zasługuje na uznanie. Wiemy, że „Goplana" nie jest gwiazdą pierwszej wielkości na niebie operowym, że inwencja melodyczna Żeleńskiego okazuje się raczej słabsza, że jego technika — zręczna zresztą — nie dorównuje choćby instrumentacyjnie osiągnięciom swojego czasu. Ale przypomnijmy, że nawet Moniuszko nie ma najlepszej orkiestry (za to jaką melodykę!). A w każdym razie posunięcie dyrekcji poszło po linii tendencji narodowej. Jeżeli drukujemy Dygasińskiego. Kraszewskiego i Orzeszkową — słusznym jest także wznawianie Żeleńskiego. Zapewne, że w skali europejskiej zajmuje autor „Goplany" akurat taką pozycję muzyczną jak tamci — literacką. A jednak wartości rodzimej kultury — większe i mniejsze — zasługują na konieczne upowszechnienie, tym bardziej, że nasz repertuar operowy jest niezbyt obfity. Zresztą tu i ówdzie przebłyskujący w partyturze koloryt polski — świeży i pociągający — wynagradza słuchaczowi „Goplany" miejsca trochę przyblakłe.

Libretto „Goplany" wywodzi się jak wiadomo, z „Balladyny". Język Słowackiego oczywiście odpada w operze, nie mniej pozostają walory dramatyczne i charakterystyczny nastrój szekspirowski. Równocześnie grany jest w Poznaniu „Sen nocy letniej". Jest to jakby lekcja poglądowa „wpływologii". Tutaj Titania — tam Goplana, tutaj Puk — tam Chochlik płatający figle, tu — tam — rywalki błąkające się po lesie i zaczarowany kochanek nimfy. „Echowość" Słowackiego nie przeszkodziła mu jednak stworzyć arcydzieła literatury. Tak tedy „Goplana" świeci blaskiem poetyckim, płynącym z dwu źródeł o wypróbowanej sile.

Zdzisław Górzyński włożył w operę cały pietyzm dawnego ucznia Żeleńskiego i wydobył z partytury możliwe maksimum. Chóry śpiewały czysto pod batutą dyrektora, orkiestra dawała frazy wypracowane pieczołowicie i plastycznie. Pokazano nam zespół solistów o korzystnych aparycjach — zamiast dam o tuszy haremowej. Pod względem wokalnym sprawa przedstawiała się rozmaicie. Na czoło obsady premierowej wysunęła się Denis — Słopiewska (także bardzo dobra aktorsko — jako wdowa). Partię tytułową zrazu źle obsadzono (Chwoyko - Charłampowicz), następnie jednak powierzono słusznie Latoszewskiej, której kreację mamy dobrze zapisaną w pamięci jeszcze z lat przedwojennych. Piękną średnicą popisała się Maria Sowińska (Alina) Antonina Kawecka z obsady drugiej śpiewała i grała Balladynę w sposób bodajże wzorowy (sylwetka sceniczna imponująca). Peter wyróżniał się jako aktor (Grabiec).

W inscenizacji starano się o autentyzm przedstawienia z czasów Żeleńskiego. Słówko „pietyzm" dostatecznie tłumaczy taką postawę — dość typową dla inscenizatorów poznańskich. Podobnie „Sen nocy letniej" nawiązywał do teatru szekspirowskiego. W „Goplanie" chodziło znowu o Kraków z epoki Zielonego Balonika. Oczywiście, że w taki pietyzm ucieka się zazwyczaj, gdy brak bardziej twórczych pomysłów... Niemniej jednak całość wypadła starannie. Dekoracje zamówiono u samego Frycza. Mistrz namalował projekty naturalistyczne, rzeczywiście w duchu tamtejszej epoki... Teofil Trzciński reżyserował, używając całego swego kunsztu. Efekty z upiornymi reflektorami były zupełnie jak w balecie „Hamlet" z występów Sadlers Wells w Poznaniu. Nowopozyskany dla Opery naszej i zasłużony tutaj w latach przedwojennych, choreograf M. Statkiewicz dostosował swoją koncepcję do ogólnej inscenizacji „Goplany".

Na marginesie inauguracji warto napisać, że oryginał partytury spłonął w czasie wojny, a jedna jedyna kopia ocalała u Małgorzaty Trombini - Kazurowej — w jej bibliotece warszawskiej. Gdyby nie ten przypadek nie byłoby w ogóle „Goplany"... Dotykam tutaj problemu nader ważnego: konserwacji muzyki polskiej.

Podobno sporo dzieł zasłużonego kompozytora R. Statkowskiego myszy dosłownie zjadły w szafie! Ile niewydanych rękopisów innych muzyków polskich przepadło w pożodze powstania warszawskiego! Nowoczesna wojna to już nie malownicza szarża ułanów, ale wojna naukowa. Nowoczesna technika wymyśliła potworne środki zniszczenia. Ale równocześnie dała nam w rękę aparat fotograficzny. Wystarczy przyłożyć kamerę do partytury i pstryknąć, a zakonserwujemy w sposób idealny i stosunkowo najtańszy — strona po stronie — każde dzieło.

Czy tedy nie wartałoby po prostu sfotografować nasz dorobek kulturalny w zakresie muzyki? Oczywiście najlepiej jest wydrukować jak najwięcej rękopisów. Ale w naszych warunkach sam Moniuszko czekał blisko 100 lat w grobie na wydanie „Strasznego dworu", a „Halkę" gra orkiestra po dziś dzień ze starych świstków. Takie snułem refleksje, wracając od ledwo uratowanej „Goplany"...

Omówiszy wielką reprezentacyjną Operę, zajmijmy się — dla kontrastu — poznańskim teatrem — lilliputem. Egzystuje u nas teatrzyk pod nazwą „Aktora i Lalki" — przeznaczony dla dzieci. Rzecz godna uwagi ze względu na hasło „frontem do dziecka". Teatrzyk ma przecie wychować przyszłych konsumentów sztuki przez wielkie S i w ten sposób ją upowszechniać. Grany właśnie „Piast" Kazimiery Jeżewskiej odznacza się niewątpliwym polotem wyobraźni literackiej, co się tyczy zwłaszcza wprowadzenia na scenę— bogów słowiańskich, Chorsa, Łady, Marzanny, Swarożyca itd. Autorka ma dar pisania dla młodzieży i znana jest z niejednej sztuki, wybornie odpowiadającej swoim założeniom. Wątpliwość co do „Piasta" mogłoby wzbudzić mieszanie różnych w swojej istocie motywów. Myślę o wprowadzeniu legendy chrześcijańskiej do wyżej zaznaczonej akcji pogańskiej.

Oto aniołowie w przebraniu podróżnym zaszli do chaty „Piasta". Cudownie rozmnażają chleb, chrzczą piastowego syna i błogosławią gościnnym jego rodzicom. W porządku. Ale przed chwilą maszerował po scenie cały panteon słowiański z naczelnym bożyszczem o czterech twarzach. Tak tedy postawiono niejako na jednej płaszczyźnie — świat mitologii słowiańskiej i pojęcia chrześcijańskie. Jaskrawo uwidacznia to finał, kiedy Piast zawiesza otrzymany od swoich gości różaniec — na honorowym miejscu izby... między posążkami Łady i Chorsa, podczas gdy lud bije pokłony... A jak to się stało, że aniołowie nadali dziecku przy chrzcie imię pogańskie Ziemowit?

W realizację utworu włożył teatrzyk dużo wysiłku. Muzykę skomponował Franciszek Izbicki - Maklakiewicz. A czego pod tym względem wymaga miejscowa krytyka, przekonamy się, cytując następującą recenzję o „Piaście", jaka ukazała się w jednym z naszych dzienników:

„Korzystną okolicznością był fakt, że nie zmieniało się dekoracji i wskutek tego nie przeciągały się nużące antrakty. Kostiumy były bardzo interesujące. W sposób plastyczny zapoznać się mogą widzowie z „modą" ówczesnej epoki. Drobiazgi, zwracające uwagę niektórych pedantów, że łapcie powinny być z kory, wiązanie nie ze sznurków, lecz z łyka, wydają mi się nieistotne. Natomiast nie mogę się pogodzić z fortepianem. Do muzykalnych nie należę, ale mimo to trudno mi pod dźwięk fortepianu podstawić jakieś archaiczne liry, piszczałki, czy też prymitywne perkusje. Mimo encyklopedyczności przedstawienia, nie dowiedziałem się, na czym to oni wówczas grali, bo chyba nie na fortepianie! Przesiawszy przez palce drobne usterki, zostaje mi w dłoni ten jeden wielki błąd: fortepian".

Nie wiem co tutaj więcej podziwiać: pochwałę za niezmienianie dekoracji, bo to skraca antrakty, czy głęboki choć „nieistotny" problem inscenizacyjny: sznurowadło czy łyko? — zamiast formy i koloru — czy ów wielki fortepian, wdzięcznie kołyszący się na małej dłoni recenzentki, zanim ta zdecyduje się wyrzucić go z teatru, przyzwyczajona do ilustracyj dźwiękowych w filmach — w rodzaju „Afryka mówi" — czy może redaktora literackiego, który drukuje takie brednie... I mówić tu ludziom o finezjach jak stylizacja, ekspresja, sztuka itd.!

Na zakończenie: co porusza umysły w Poznaniu? — Do rubryki „drobnych ogłoszeń" jednej z gazet przedostał się anons — chytrze podsunięty w wirze pracy administracyjnej... Czytamy tam:

„Zginęła suka sierści płowej, oczy małe. Wabi się... (tu następuje imię i skrócone nazwisko znanej w Poznaniu poetki lirycznej). Odprowadzić za wynagrodzeniem do Teatru...".

Oto — proszę: przykład walki artystycznej na noże — w kłębowisku wzajemnych uraz... Takich zjawisk jest oczywiście więcej. Intrygi, błędy, marnotrawstwo, ignorancja, głupota, fanfaronada, nawet świadome szkodnictwo — obok rzeczy najbardziej pozytywnych, pięknej tradycji, talentów i niewątpliwie dużych osiągnięć — modelują światłocień naszego miasta. Ci, którzy wyobrażają sobie stosunki w Poznaniu, jako idealne, kwitnącą na podstawie gospodarczej rządności Wielkopolan — kulturalną współpracę i harmonię w rodzaju arkadyjskiej sielanki — jakże dalecy są od rzeczywistości!

Feliks Maria Nowowiejski

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30
Druk. Skolimowska 8.
B-06294